



MARION LENNOX
NA CHWILĘ
CZY
NA ZAWSZE



Tytuł oryginału: Doctor on Loan

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Więc tak wygląda niebo.

Jasne światła i panująca wokół biel raziły go do bólu. W innych okolicznościach pewnie by się przestraszył, lecz teraz całą uwagę skupił na kobiecie, która mu się przyglądała. Nigdy dotąd nie widział nikogo równie pięknego.

Była młoda, ale ponieważ myślenie przychodziło mu w tej chwili z trudem, nie potrafił dokładnie określić jej wieku. Burza lśniących, brązowych loków opadających na ramiona, niezwykle zielone oczy, kilka piegów na zgrabnym nosie i usta rozchyłone w szerokim, ciepłym uśmiechu zapewne każdego mężczyznę przyprawiłyby o zawrót głowy.

A jeśli chodzi o resztę... Wciąż jeszcze w półśnie, ogarnął wzrokiem jej niezbyt wysoką, apetycznie zaokrągloną sylwetkę. Dziewczyna miała na sobie gruby sweter w kolorze karminu i wypłowiałe dżinsy. Kobiety, z którymi Hugo Tal-lent miewał zazwyczaj do czynienia, ubierały się w bardziej wyszukany sposób, lecz tej dziewczynie prosty strój zdawał się jedynie dodawać powabu.

Wrażenie było tym silniejsze, że jeszcze nie tak dawno był przekonany, że za życia nie zobaczy już nikogo.

- Dzień dobry. Jak się pan czuje?

Mimo że jej głos był równie serdeczny jak uśmiech, Hugo uznał, że chyba jednak nie znajduje się w niebie. Tępy ból rozsadzający mu czaszkę był jak najbardziej ziemskiej natury. Widać dostrzegła jego cierpienie, bo przymrużyła ze współczuciem oczy i dla dodania otuchy uściśniła mu rękę.

- Podałam panu środki uśmierzające. Niedługo zaczną działać. Tymczasem proszę spróbować się rozluźnić. Teraz może być już tylko lepiej.

Więc to jednak rzeczywistość! A ta niezemska, promienna istota jest prawdziwą, zbudowaną z krwi i kości kobietą, której uroda w oczach Hugona zdawała się rozkwitać z minuty na minutę.

Pomyślał, że dziewczyna pewnie ma rację i jego sytuacja zacznie się teraz poprawiać, gdyż nie był w stanie wyobrazić sobie gorszego położenia niż to, w jakim się znalazł, zanim utracił przytomność. Jak to możliwe, że jednak żyje? I kim jest jego wybawca?

Ponownie podniósł wzrok na nieznaną. Nadal ścisnęła mu rękę i nie spuszczała czujnego wzroku z jego twarzy. Zrozumiawszy, że to właśnie jej zawdzięcza życie, uznał, że istnieje tylko jeden sposób, by się właściwie odwdziżyć.

- Zostanie pani moją żoną?

Ze zdumienia otworzyła szeroko oczy. Z całą pewnością nie spodziewała się podobnej propozycji. Wyraz rozbawienia, który na krótką chwilę zagościł w jej oczach, ustąpił pewnemu zaniepokojeniu. Z najwyższą uwagą przyjrzała się pacjentowi, jakby spodziewała się, że zacznie wykazywać kolejne objawy uszkodzenia mózgu.

- Słucham?

- To pani wyciągnęła mnie przecież spod łodzi - wyszeptał - i doholowała do brzegu... Więc jeśli tylko pani zechce, może pani mieć i mnie, i wszystko, co do mnie należy. Jedno pani słowo i...

- Nie ja uratowałam panu życie - powiedziała, tym razem bez uśmiechu.

Jej głos nadal brzmiał łagodnie, lecz teraz pobrzmiwała w nim nuta przerażenia wywołana wspomnieniami wydarzeń ostatniej nocy. Przez chwilę zastanawiała się, czy jej opowieść nie narazi chorego na zbyt głęboki stres. Postanowiła jednak zaryzykować.

- Ben Owen z kolegami łowili krewetki przy ujściu rzeki i zauważyli pańską łódź kierującą się prosto do wejścia do przystani. Samo ujście rzeki jest osłonięte od wiatru, ale z pewnością nie da się tego powiedzieć o przesmyku prowadzącym na przystań. Na początku myśleli, że coś im się przywidziało, bo tylko samobójca mógł próbować dobić do nabrzeża przy wczorajszej pogodzie.

Oczywiście ma rację, pomyślał. Szkoda tylko, że sam zbyt późno zdał sobie sprawę z zagrożenia. Nawet skierowanie łodzi na skały wiązałoby się z mniejszym ryzykiem.

- Ben naraził życie, żeby pana ratować - oznajmiła z ledwie słyszalną nutą przygany. - Ten chłopiec ma dopiero czternaście lat. Zanurkował pod wywróconą łódź i wy dostał pana na powierzchnię, a chyba sam Bóg musiał mieć was w opiece, bo obaj wykazaliście kompletny brak pomysłu. Pan dlatego, że w ogóle próbował dobić w czasie sztormu do brzegu, a Ben też musiał być niespełna rozumu, żeby przy takiej fali ruszyć panu na ratunek. Teraz leży na sąsiednim oddziale.

- Na oddziale?

Hugo po raz pierwszy rozejrzał się w miarę przytomnie dookoła. Czyżby znajdował się w szpitalu? Ból głowy nieco zelżał, pozwalając mu wreszcie zebrać myśli.

- Uratował mnie chłopiec? A teraz leży tu obok? To znaczy, że jest ranny? - zapytał drżącym głosem.

Na samą myśl o tym, że nastolatek ryzykował życie, by wyłowić go z wody, poczuł przerażenie.

- Ma rozciętą rękę, a poza tym wciąż jeszcze jest w szoku
- wyjaśniła kobieta, nie odrywając wzroku od twarzy pacjenta.
- Na szczęście nie odniósł poważniejszych obrażeń. Z tego, co wiem, zaczepił pan szelkami kamizelki ratunkowej o jakąś wystającą część łodzi. Ben zawsze ma przypięty do boku nóż myśliwski. Traktuje go jak talizman. Podejrzewam, że nawet w nocy zakłada pas z nożem na piżamę. W każdym razie udało mu się porozcinać pęta, choć zajęło mu to sporo czasu.

- Pod wodą?

- Właśnie.

- Dobry Boże! - Przymknął powieki i bezwiednie zacisnął palce na dłoni rozmówcy. Jej bliska obecność przynosiła mu pewną ulgę, choć i tak nie był w stanie wybaczyć sobie własnej głupoty. Przecież ten chłopiec mógł...

- Proszę postarać się o tym teraz nie myśleć - dodała, uwalniając rękę z uścisku. - Na szczęście obaj już jesteście bezpieczni. Tylko - zawahała się, bo chociaż wiedziała, że musi zadać to pytanie, to jednak się go obawiała. - Proszę mi powiedzieć, czy w łodzi był ktoś poza panem? Nikogo innego nie udało się nam odnaleźć.

- Nie.

Właśnie w tym problem. I to wszystko za sprawą jednego nieodpowiedzialnego braciszka! Choć może to dobrze, pomyślał Hugo, że akurat wczoraj nikt mi nie towarzyszył.

- Byłem sam.

- W takim razie miał pan nieprawdopodobne szczęście. Kobieta odetchnęła z ulgą. Musi natychmiast zawiadomić ratowników, by zakończyli poszukiwania.

- Doznał pan rozcięcia skóry na głowie - ciągnęła - więc musiałam założyć szwy, ale nic nie wskazuje na to, żeby doszło do głębszego urazu. Poza tym nadal ma pan wodę w płucach, a to oznacza, że pozostanie pan w łóżku, dopóki nie uda się nam jej usunąć. A dzięki licznym sińcom na całym ciele przez kilka najbliższych tygodni będzie się pan prezentował co najmniej interesująco. Aha, zapomniałam jeszcze wspomnieć o zwichniętym stawie kolanowym.

- Zwichniętym?

Po raz pierwszy od chwili odzyskania przytomności pomyślał o stanie własnego zdrowia. Mimo że pozostawał pod działaniem środków przeciwbólowych, czuł się potwornie poobijany, a łupanie w lewym kolanie dokuczało mu równie dotkliwie, jak tępy ból rozsadzający czaszkę. Spróbował poruszyć nogą, ale była ciężka i sztywna jak z drewna.

- Udało mi się ją nastawić, a potem musiałam założyć usztywniający opatrunek. Jest jednak mocno stłuczona i obawiam się, że jeszcze przez dłuższy czas utrzyma się obrzęk, więc proszenia nie poruszać. Ale, jak już mówiłam, i tak miał pan nieprawdopodobne szczęście.

Znowu uściśnęła mu dłoń, a ciepło płynące z jej ręki podziałało na niego niczym kojący balsam.

- Przepraszam, ale muszę już iść - oświadczyła, odwracając głowę w kierunku drzwi, w których właśnie pojawiła się pielęgniarka. - Mary-anne posiedzi tu teraz z panem. Gdyby ból się nasilił albo zaczął pan odczuwać zawroty głowy lub mdłości, proszę jej natychmiast powiedzieć. Tak naprawdę - dodała po chwili wahania - najchętniej odesłałabym pana do Brisbane, ale przez ten sztorm to wciąż niemożliwe. Więc przynajmniej na razie skazany jest pan na moją i dziadka pomoc. A skoro dziadek twierdzi, że nic panu nie będzie, nie pozostaje nam nic innego, jak mu zaufać.

Jeszcze raz obdarzyła go cudownym, choć nie pozbawionym niepokoju uśmiechem i wysłała na korytarz.

- Powinam go stąd odesłać.

Doktor Stan Fleming siedział w ulubionym fotelu w dyżurce pielęgniarek, skąd mógł obserwować wszystkich wchodzących i wychodzących ze szpitalika niosącego pomoc mieszkańcom wyspy Briman. Od czasu wylewu spędzał tu większość czasu. Teraz z niepokojem przyglądał się wnuczce.

Widział wyraźnie, że ledwie trzyma się na nogach. Christie miała dwadzieścia osiem lat i z całą pewnością nie powinna się tak przemęczać. Ani ona, ani nikt inny. Przez całą noc nie położyła się nawet na chwilę i nic nie wskazywało na to, by w najbliższym czasie miała jakąkolwiek sposobność odpocząć. Przyjęła na siebie zbyt wiele obowiązków. Między innymi po to, by go chronić.

Czuł złość, a świadomość własnej bezradności sprawiła, że poczuł wybitną niechęć do pacjenta, który przysporzył wnuczce dodatkowych kłopotów.

- Przy tej pogodzie nie można go nigdzie odesłać. I przestań się nim przejmować - mruknął. - Cholerny mieszczuch. Gołym okiem widać, że jest silny jak koń.

- Ale za długo był nieprzytomny. Wiem, że na razie nic na to nie wskazuje, ale skąd mogę mieć pewność, że pod czaszką nie tworzy się krwiak? Powinno mu się zrobić tomografię.

- A gdzie tu na wyspie uświadczysz tomograf? - mruknął stary lekarz.

I tak dobrze, że mają aparat rentgenowski. Nikt się nawet nie domyśla, ile wysiłku kosztowało go jego zdobycie.

- Posłuchaj, Christie. Zrenice pacjenta reagują prawidłowo, wszystkie inne odruchy też nie odbiegają od normy i nie mamy żadnego powodu, żeby podejrzewać choćby najmniejsze pęknięcie czaszki. Po prostu dostał czymś mocno w głowę, no i opił się wody, ale widziałem wielu rybaków w zdecydowanie gorszym stanie, którzy całkiem szybko dochodzili do siebie. Poza tym, o ile pamiętam, mówiłaś, że jest już całkiem przytomny.

- No tak, to znaczy prawie. - Mimo woli oblała się rumieńcem. - Bo nie wiem, czy można uznać za w pełni przytomnego mężczyznę, który w dwie minuty po odzyskaniu świadomości prosi mnie o rękę.

- To akurat wydaje mi się zupełnie rozsądne - zachichotał Stan. - Sam bym się tak zachował, gdybym miał o czterdzieści lat mniej i nie był twoim dziadkiem.

- Powiedzmy, że ci uwierzyłam.

Roześmiała się, odgarniając włosy z czoła. Dziwnie się czuła. Pomyślała, że to zmęczenie daje w końcu znać o sobie. Przecież przez całą noc nie zmrużyła oka. Próbowwała opanować kolejny atak astmy, który właśnie wczoraj przytrafił się małej Mary Adams, i nie dopuścić do przedwczesnego rozwiązania w przypadku ciężarnej Liz Myers, u której sporo za wcześnie pojawiły się skurcze, kiedy chyba koło północy otrzymała pilne wezwanie do przystani.

Na szczęście sytuacja w szpitalu była już na tyle opanowana, że bezzwłocznie wskoczyła do samochodu, w którym czekał na nią zdjęty twogą ojciec Bena.

- Podobno chłopak od razu wskoczył do wody i nie mogą go teraz znaleźć. Boże, miej nas w swej opiece. Christie, jeżeli coś mu się stanie... - mówił, prowadząc samochód z szaleńczą szybkością.

Na przystani zdążyli się już zebrać chyba wszyscy mieszkańcy wyspy zdolni do podjęcia akcji ratowniczej. Mimo panujących wokół ciemności i spienionych przez sztorm fal, cała flotylla rybackich kutrów odbiła od brzegu, by wziąć udział w poszukiwaniach chłopca.

- Gdyby nie chodziło o Bena, przy takiej pogodzie nigdy nie wypłynęliby poza przystań - zauważył Stan, kiedy wnuczka opowiedziała mu, co- zaszło.

- Wszyscy rybacy podjęli straszne ryzyko. Ty zresztą też, skoro popłynęłaś z nimi.

- Wiem - westchnęła. Wspomnienie tej nocy miało na długo pozostać w jej pamięci. - Ben został wyrzucony przez fale na otwarte morze i przez dobrą godzinę samotnie zmagał się z żywiołem, znajdując w sobie jakąś

nadludzką siłę, żeby nie wypuścić nieprzytomnego mężczyzny. To cud, że ratownicy zdołali odnaleźć ich żywych.

- Chłopak musiał być w strasznym stanie - domyślił się Stan.

- Owszem.

Siedząc w środku nocy w rozkołysanej łodzi, Christie z trudem panowała nad kolejnymi falami morskiej choroby, ale natychmiast doszła do siebie, ledwie rozbitkowie zostali wciągnięci na pokład.

Wyczerpany do granic ludzkiej wytrzymałości Ben padł na deski i zaniósł się szlochem. Jego ojciec, nie szczędząc przekleństw i słów radości, tulił go w ramionach, podczas gdy lekarka dokładała wszelkich starań, żeby ocucić uratowanego przez chłopca żeglarza.

- On musi żyć - łkał chłopiec. - Nie pozwólcie mu umrzeć!

- Dzieciak przeżyłby tę śmierć podwójnie boleśnie - wtrącił Stan. - Szczególnie po tym, co spotkało jego mamę.

Matka Bena utonęła w morzu, kiedy chłopiec miał osiem lat. Wspomnienie owych tragicznych zdarzeń nigdy nie przestało go prześladować.

- Dave mówił, że u tego gościa doszło do zatrzymania akcji serca, tak? - Dave był kapitanem przystani i kierował całą akcją ratowniczą.

- To prawda.

Zapewne przestał oddychać, kiedy wciągano go na pokład, i Christie musiała użyć całej swojej medycznej wiedzy i siły fizycznej, by przywrócić go do życia. Szczególnie że przez cały czas czuła na sobie przerażony wzrok chłopca.

Na szczęście nieznajomy w końcu zaczął się krztusić i złapał oddech, a leżący teraz obok za ścianą Ben uznał, że to cud. Doznany szok sprawił jednak, że mimo iż Christie podała mu silną dawkę środków uspokajających, chłopak nadal nie był w stanie opanować drżenia całego ciała.

- Dziewczyno! Dlaczego mnie nie obudziłaś? - Starszy pan nie posiadał się z oburzenia.

- Nie było takiej, potrzeby. Wiedziałałam, że dam sobie radę.

Christie zdawała sobie sprawę, że mija się z prawdą, ale od czasu owego nieszczęsnego wylewu nigdy nie niepokoiła dziadka w nocy. Wszyscy wiedzieli, że w nagłych przypadkach mają dzwonić na jej telefon komórkowy, by nie zakłócić snu starego doktora.

- Wiadomo już, kto to taki? - zapytała.

- A ty go nie zapytałaś?

- Dopiero odzyskał przytomność. Uznałam, że ustalenie tożsamości można odłożyć na później, bo najważniejsze jest, żeby się teraz wyspał.

- Mogę podać ci jedynie jego imię i nazwisko. - Stan nadal był wyraźnie rozczarowany faktem, że mimo powagi sytuacji nie został poproszony o pomoc. - Dave właśnie dzwonił, żeby powiedzieć, że łódź nazywa się "Sandpiper" i jest zarejestrowana na Charlesa Tallenta. Ale tym razem płynął nią jego syn Hugo. Opuścił Cairns w. czwartek i kierował się do Brisbane. Kiedy zaczął się sztorm, powinien był poszukać schronienia w Whitsundays. Bóg raczej wiedzieć, dlaczego tego nie zrobił.

- Podejrzewam, że mocno teraz tego żałuje. Mówiłeś, że nazywa się Hugo Tallent?

Śmieszne, pomyślała, ale nazwisko raczej nie odpowiada zaletom jego umysłu. Chyba że ten rostry, opalony facet po trzydziestce z szopą czarnych włosów na głowie ma jakiś szczególny talent do pakowania się w kłopoty.

W każdym razie z pewnością brak mu rozumu, westchnęła w duchu, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego uścisk jego dłoni i nie ukrywany podziw, z jakim na nią patrzył, przyprawił ją o przyspieszone bicie serca. Też coś, skarciła się. Przecież doktor Christie Flemming nie ma czasu na takie głupoty. Zamiast zawracać sobie głowę jakimiś mrzonkami, musi skupić się na tym, co naprawdę ważne.

- Dave nie powiedział ci, co się stało z łodzią? Pan Tallent na pewno będzie chciał to wiedzieć.

- Udało mu się doholować ją do brzegu, bo jakimś cudem w końcu wróciła do pionu. Straciła maszt. Może to dlatego facet chciał wpłynąć do portu. Obijała się o mur oddzielający przystań od otwartego morza i gdyby Dave i jego ludzie nie ściągnęli jej do suchego doku, pewnie rozpadłaby się na kawałki. Jest mocno pokierszowana, ale podobno da się naprawić.

- Czyli nasz pacjent miał jeszcze więcej szczęścia niż myślałam - rzekła Christie z westchnieniem. - Musimy tylko podleczyć go na tyle, żeby był gotów do drogi, no i zająć się Benem, który przez lekkomyślność tego faceta pewnie długo jeszcze nie dojdzie do siebie.

- Nie zapominaj, że Ben jest teraz prawdziwym bohaterem.

- Owszem, bohaterem z poobijaną psychiką. Sam wiesz, że niełatwo będzie nam zamknąć tę puszkę Pandory, która otworzyła się na skutek wczorajszych wydarzeń.

Minęła trzecia po południu, gdy Christie wreszcie znalazła chwilę czasu, by zajrzeć do Hugona. Do tego czasu pozostawał pod ścisłą obserwacją. Obawiając się krwawienia wewnątrzczaszkowego, Christie zleciła pielęgniarkę, by nawet na chwilę nie zostawiała pacjenta bez opieki i

zawiadomiła ją o jakichkolwiek niepokojących objawach. Na szczęście stan chorego nie wzbudzał obaw i Christie powoli zaczynała nabierać przekonania, że dziadek miał rację, twierdząc, że nic nie zagraża życiu pechowego żeglarsza.

Kiedy weszła do sali, pacjent spał. Gestem dłoni przywołała Mary-anne do drzwi.

- Idź teraz na kawę. Posiedzę tu z dziesięć minut. Właśnie sięgała po kartę zawieszoną na poręczy łóżka, kiedy Hugo Tallent uniósł powieki. Musiała przyznać, że oczy miał całkiem ładne. Piwne, głęboko osadzone, pasowały do opalonej twarzy, a delikatne, układające się w kurze łapki zmarszczki mimiczne świadczyły o dobroduszej, wesołej naturze pacjenta.

Christie uśmiechnęła się przelotnie i skupiła uwagę na karcie. Wymioty ustąpiły i chory nawet zdołał wypić kubek gorącej herbaty. Zarówno temperatura, jak ciśnienie krwi utrzymywały się w normie.

- I co? Niczego mi nie brakuje? - zapytał niskim, głębokim głosem.

Wyraźnie odzyskuje pewność siebie, pomyślała Christie. Rano przecież rozmawiał z nią ochryłym, drżącym z przejęcia szeptem.

- Niczego poza rozumem - roześmiała się. - Muszę teraz pana osłuchać. - Odchyliła koldrę i z uznaniem spojrzała na szeroki, porośnięty ciemnymi włosami tors. Facet mógłby występować w reklamach, pomyślała i przyłożyła stetoskop do opalonej skóry.

- Mogę zapytać...

- Proszę teraz nic nie mówić... - Słuchała uważnie. - A teraz przewrócić się na bok.

- Coś nie tak? - zapytał na widok jej zmarszczonego czoła i oparł się ponownie o poduszki.

Mimo że miała teraz na sobie biały, szpitalny fartuch, Hugo wciąż nie bardzo mógł uwierzyć, że ma do czynienia z lekarką. Co prawda bez odpowiednich kwalifikacji z pewnością nie nastawiłaby zwichniętego stawu kolanowego i nie przeprowadziła skutecznej akcji reanimacyjnej, o której opowiedziała mu Mary-anne. Ale jakim cudem ta młodziutka dziewczyna mogła już skończyć medycynę?

- Ma pan nadal sporo płynu w płucach.

- Jakoś to przeżyję.

- Zapewne. Ale przynajmniej dzisiejszy dzień musi spędzić pan w łóżku, opierając się wysoko o poduszki, żeby nie dopuścić do zapalenia płuc.

- Też wolałbym tego uniknąć. - Przyglądał się Christie ze zmarszczonymi brwiami. - Nie chcę pani urazić, bo wiem, ile pani już dla mnie zrobiła, ale czy aby na pewno jest pani lekarzem?

Roześmiała się. Nie był pierwszym pacjentem, który powątpiewał w jej kwalifikacje.

- Chce pan obejrzeć mój dyplom? - zapytała. - Wiem, że wyglądam na szesnaście lat, ale w rzeczywistości niedawno obchodziłam dwudzieste ósme urodziny i posiadam wszelkie uprawnienia do wykonywania zawodu. Nigdy nie brałabym się za coś, czego nie potrafię - zapewniła.

Uśmiechnął się z wyraźnym zmieszaniem.

- Przepraszam, że zapytałem, ale czasem niestety tak bywa. Ja, na przykład, powinienem był wiedzieć, że nie potrafię dopłynąć do przystani, a jednak spróbowałem. I przez własną głupotę naraziłem tylu ludzi na niebezpieczeństwo.

- Rozumiem, że siostra opowiedziała panu o wszystkim. - Mąż pielęgniarki był rybakim i też brał udział w nocnych poszukiwaniach, a Mary-anne nie należała do osób owijających cokolwiek w bawełnę. - Ben ryzykował własne życie, żeby pana ratować. A pozostali jemu właśnie ruszyli na ratunek. To przecież jeszcze dzieciak.

- Kiedy mógłbym go zobaczyć? Żeby mu podziękować.

- Trudno mi teraz powiedzieć.

- Ale mówiła pani przecież, że nie odniósł poważnych obrażeń.

- To prawda - przyznała. - Ale jeszcze nie może przyjmować gości.

Hugo jeszcze mocniej zmarszczył brwi.

- Doktor Flemming... Bo właśnie tak się pani nazywa, prawda? Pielęgniarka mówiła...

- Owszem - uśmiechnęła się. - A pan to Hugo Tallent?

- Świetna detektywistyczna robota. Gratuluję. Ale wróćmy do sprawy. Odnoszę wrażenie, pani doktor, że nie powiedziała mi pani wszystkiego.

- Na jaki temat?

- Bena. Jest ciężko ranny, tak?

- Nie. - Pokręciła głową, zastanawiając się, jak wiele powinna mu wyjaśnić. Przypadek Bena był nader delikatnej natury, a lekkomyślność, jaką pan Tallent wykazał na morzu; nie dawała podstaw, by podejrzewać go o szczególną wrażliwość. Z drugiej strony, każdy na jego miejscu upierałby się, by przed opuszczeniem wyspy poznać wybawcę. Skoro więc i tak mają się spotkać, może lepiej od razu powiedzieć mu prawdę.

- Matka Bena utonęła w morzu, kiedy chłopiec miał osiem lat. Mały pływał na desce i powracająca fala wyciągnęła go na morze. Jego matka wpadła w panikę i popłynęła chłopcu na ratunek. Bena po kilku godzinach wyratowali rybacy. Cały czas kurczowo trzymał się deski. Ale kobiety nigdy nie odnaleziono. Dzieciak potwornie to przeżył. Wmówił sobie, że

jest winien jej śmierci... - Zawiesiła na chwilę głos. - Wydaje mi się, że to przez te dawne przeżycia z taką determinacją rzucił się panu na ratunek. Gdyby nie to, nie byłoby już pana wśród żywych.

- Wiem.

- Tyle że nie jest pan jego matką - powiedziała, usiłując dostrzec jakiś ślad zrozumienia na twarzy rozmówcy. - I nic nigdy tego nie zmieni. Nie wiem, czy pojmuje pan, o co mi chodzi?

Właściwie nie musiała pytać, bo wyraz rozpaczy w jego oczach mówił wyraźnie, że wczuwa się w położenie dziecka. Christie uznała, że może przesadziła, posądzając go o całkowity brak inteligencji.

- Chłopak musi przechodzić piekielne męczarnie.

- To prawda. Więc przynajmniej na razie...

- Muszę z nim porozmawiać - rzekł stanowczo.

- Może jutro - zgodziła się Christie niechętnie. - Tylko musi pan tam pojechać w wózku, bo obawiam się, że jeszcze przez kilka dni nie będzie mógł pan chodzić. Tymczasem, jeśli czuje się pan na siłach, proszę porozmawiać z sierżantem miejscowej policji.

- Policji?

- Musi ustalić, jak doszło do wypadku i kogo powinien zawiadomić. Więc gdyby pan mógł...

- Oczywiście - zgodził się, choć najwyraźniej myśli nadal zaprzętała mu smutna historia Bena. - Tyle żał... - Spojrzał Christie prosto w oczy. - Mieszkańcy wyspy muszą mieć mnie za kompletnego durnia.

- Nie przeczę, że coś takiego mogło im przyjść do głowy - odparła, próbując złagodzić sens własnych słów czarującym uśmiechem. W końcu nie jest jej zadaniem wzbudzanie poczucia winy w pacjentach. - Ale-jeśli to pana pocieszy, ludzie z miasta z reguły nie są traktowani tutaj poważnie.

- Zerknęła na zegarek i właśnie miała skierować się do wyjścia, gdy Hugo wyciągnął rękę i mocno zacisnął dłoń na jej nadgarstku.

- Muszę pani coś wyjaśnić.

Christie pomyślała, że powinna uwolnić rękę i zniknąć za drzwiami. Czekają przecież jeszcze tyle pilnej pracy. Ale... Westchnęła tylko i przysiadła na krześle przy łóżku. Dziwne, ale uścisk jego dłoni był całkiem przyjemny.

- Słucham - powiedziała niezamierzenie szorstkim tonem, bo właśnie zaczęła traktować go z pewną dozą współczucia. Szczególnie że wyraz jego oczu świadczył, że bardzo pragnie zrozumienia z jej strony.

- To nie jest moja łódź.

- Wiem. Kapitan przystani powiadomił nas, że zarejestrowana jest na pańskiego ojca.

- Właśnie - potwierdził ze śmiertelną powagą. - Tylko że pożyczył ją sobie Peter, to znaczy mój brat.

- Nie rozumiem.

- Nic dziwnego. Mało kto potrafi pojąć jego pomysły - zauważył Hugo z goryczą. - Mój ojciec mieszka w Brisbane. Kiedy przeszedł na emeryturę, wybudowali z mamą ten jacht. Oboje bardzo się nim cieszyli. Od śmierci mamy łódź stała się całym życiem ojca. Nie wiem, jak Peter zdołał namówić tatę, żeby mu ją pożyczył. W każdym razie popłynął do Cairns, a ponieważ tam ktoś zaproponował mu, żeby zaciągnął się na statek płynący na Bahamy, zostawił jacht w Cairns i ruszył w drogę. Nawet nie zapewnił mu bezpiecznej przystani.

- No i...

- No i ojciec uparł się, że sam przyprowadzi jacht do domu. Tyle że ma za słabe serce na takie wyprawy, a w dodatku zbliża się sezon cyklonów. Poza tym, gdyby łódź nie została teraz przeprowadzona na południe, musiałaby pozostać w Cairns przez następne pół roku, a sześć miesięcy bez łodzi dobiłoby tatę ostatecznie. Transport drogą lądową też nie wchodził w grę, bo to duża łódź i nie zmieści się na żadną przyczepę. - Zawiesił głos, szukając w oczach Christie oznak zrozumienia, na którym z niewiadomego powodu zależało mu teraz najbardziej. - Po śmierci mamy ta łódź jest ojcu potrzebna do życia jak powietrze.

Wyraz twarzy Christie nieco złagodniał. Może rzeczywiście Hugo nie znalazł się na spienionym morzu w niemądrym poszukiwaniu mocnych wrażeń.

- Chyba zacznam rozumieć.

- Próbowałem wynająć kogoś, kto przeprowadziłby "Sandpipera" na południe, ale nie znalazłem nikogo chętnego. Tymczasem tatę ogarniała coraz większe przygnębienie i upierał się, że ruszy na morze, więc nie miałem wyboru. Musiałem sam ściągnąć łódź, chociaż, jak zapewne zdążyła się pani już zorientować, jestem raczej niedzielnym żeglarzem. Zepsuło mi się radio i wczorajszy sztorm kompletnie mnie zaskoczył. Wcześniej straciłem maszt. Spychało mnie na skały, a bez łączności radiowej...

- Nadajniki radiowe raczej rzadko się psują - zdziwiła się Christie.

Z tego, co wiedziała na temat nawigacji, przyzwoite radio należało do podstawowego wyposażenia każdego żeglarza, bo na morzu łączność często decyduje o życiu.

Hugo zacisnął ze złością wargi.

- To kolejna sprawka mojego kochanego braciszka - wyjaśnił. - Sprzedał dobry nadajnik i zastąpił go tanim aparatem na baterie. Zresztą, wyprzedał prawie cały sprzęt z jachtu, żeby zdobyć pieniądze na nową eskapadę. Dokupiłem, co mogłem, ale w pośpiechu zapomniałem o zapasowych bateriach. W każdym razie, kiedy złapał mnie sztorm, w zapiskach zostawionych przez brata znalazłem informację, że na wyspie Briman jest bezpieczna przystań.

- To prawda, czego niestety nie można powiedzieć o samym wejściu do przystani. Przy tak silnym wschodnim wietrze nawet kutry rybackie nie próbują z niego korzystać.

- Chyba że muszą ruszyć na ratunek jakiemuś niepoczytalnemu facetowi - jęknął Hugo.

- Pańska łódź została przyholowana do brzegu - oznajmiła Christie, zbierając się do wyjścia.

I tak straciła już sporo czasu, a poza ofiarami wczorajszego wypadku miała jeszcze innych, wymagających opieki pacjentów. Co prawda zdołała w nocy opanować przedwczesne skurcze u Liz Myers, ale wznowienie akcji porodowej mogło nastąpić w każdej chwili. Mimo to rozmowa z Hugonem Tallentem zdecydowanie dobrze jej zrobiła. Po pierwsze, nie zaobserwowała u niego żadnych luk pamięci, ato oznaczało, że mimo iż długo nie odzyskiwał przytomności, jego mózg nie został uszkodzony i nie będzie musiała w pojedynkę dokonywać trepanacji czaszki. Po drugie, coś w jego zachowaniu sprawiło, że powoli opuszczała ją męczące od wczoraj napięcie. Biło od niego opanowanie i wewnętrzny spokój.

- Niemożliwe. - Hugo spojrział na nią z niedowierzaniem. - Byłem przekonany, że poszła na dno.

- O ile wiem, fale wepchnęły ją do basenu przystani i zatrzymała się na skałach oddzielających go od otwartego morza. Dave z pomocą rybaków doprowadził ją do suchego doku. - Podobno da się naprawić, choć będzie to słono kosztowało.

- Pieniądze nie stanowią problemu. - Hugo odetchnął z ulgą. - Mogę przynajmniej powiedzieć tacie, że jacht jest bezpieczny, a przywracanie go do dawnej świetności tylko mu sprawi przyjemność.

- Przede wszystkim powinien pan dać mu znać, co się stało, i że wyszedł pan cało z opresji. Poproszę Mary-anne, żeby przyniosła panu telefon do łóżka.

- Dzięki. Będę też musiał wynająć jakąś łódź albo taksówkę powietrzną, żeby się stąd wydostać - dodał po chwili wahania.

- A co? Nie podoba się panu nasz szpital?

- Nie o to chodzi - odrzekł, przypatrując się usztywnionej gipsowym opatrunkiem nodze. - Z tym kolaniem może o mi być trochę niewygodnie, ale naprawdę muszę jak najszybciej wrócić do Brisbane.

- Osobiście bardziej niepokoję się stanem pańskich płuc niż kolana - zauważyła. - Ale ma pan szczęście. Niedawno wprowadził się na wyspę emerytowany fizjoterapeuta. Poprosiłam go, żeby się panem zajął, bo trzeba pana uwolnić od resztek zalegającej wody.

- Nic mi nie będzie. Poza tym w Brisbane jest sporo fizjoterapeutów, a ja po prostu nie mogę tu zostać.

- Bardzo mi przykro, ale obawiam się, że to niemożliwe, przynajmniej na razie. Na północ od wyspy przesuwa się cyklon i stąd ta wichura. Wszystkie służby ratunkowe zostały przeniesione w miejsca szczególnie zagrożone, żaden lekki samolot tu teraz nie wylądowuje, a przystań nie nadaje się do użytku. Więc jeśli nie chce pan narazić kolejnych osób na śmiertelne niebezpieczeństwo, musi pan z nami zostać.

- Ale...

- Może i jest pan bogaty, ale nie sędzę, żeby pieniądze na cokolwiek się tu teraz zdały. - Christie powoli zaczynała tracić cierpliwość. Tylko tego brakuje, żeby jakiś nadziany forsą, napuszony półgłówek zaczął się panoszyć na wyspie. - A teraz proszę mi wybaczyć, ale naprawdę muszę już iść. Czeka mnie jeszcze dużo pracy.

Właśnie podnosiła się z krzesła, kiedy w drzwiach pojawiła się Mary-anne.

- Świetnie, że jesteś, bo właśnie wychodzę. Nie musisz już stale czuwać przy panu Tallencie, ale zaglądam do niego co godzinę, dobrze? I zawołaj mnie koniecznie po wizycie fizjoterapeuty.

- Oczywiście, pani doktor. Jest pani potrzebna na kobiecym, bo pani Myers znowu ma skurcze. I to silne.

- O Boże! - Christie na moment przymknęła powieki, próbując zebrać nadwątlone siły. - Zostawiam pana pod opieką Mary-anne, panie Tallent. Proszę wypoczywać - powiedziała i wyszła na korytarz.

Pozostawiony własnym myślom Hugo zaczął rozważać to, co przed chwilą usłyszał. Perspektywa pozostania na wyspie wcale go nie ucieszyła.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nie miała teraz czasu, żeby zastanowić się nad postępowaniem Hugona. Całą uwagę musiała skupić na Liz Myers, której stan dawał wszelkie podstawy do obaw.

Od czasu, kiedy jej dziadek miał wylew, w szpitalu na wyspie starano się nie odbierać porodów. W większości przypadków ciężarne odsyłane były na kilka tygodni przed rozwiązaniem do któregoś ze szpitali na lądzie. Co prawda Christie miała za sobą staż na położnictwie i chirurgii, ale w przypadku komplikacji niewiele mogłaby w pojedynkę zdziałać.

Jeszcze kilka miesięcy temu radzili sobie z dziadkiem całkiem nieźle. Stan Flemming był świetnym lekarzem i razem z wnuczką stanowili zgrany zespół. W poważniejszych sytuacjach, wymagających na przykład cesarskiego cięcia, dzielili się rolami anestezjologa i chirurga.

Niestety, choroba sprawiła, że Stan stracił czucie w prawej części ciała i miewał kłopoty z pamięcią. Zazwyczaj zachowywał się normalnie, ale zdarzało się, że tracił orientację i nie bardzo wiedział, co robi. A to oznaczało, że Christie zmuszona była prowadzić szpital sama. Właśnie dlatego, mimo że pojawiła się przy łóżku Liz Myers z pewnym siebie uśmiechem, naprawdę trzęsa się ze strachu.

- Witaj, Liz. Co się dzieje?

Pacjentka była w trzydziestym piątym tygodniu ciąży. Jej niezwykle drobna budowa od początku budziła niepokój Christie, która już przed miesiącem skierowała ją na badanie ultrasonograficzne do Townsville. Płód był na tyle duży, że lekarze nie mieli wątpliwości, iż nie obędzie się bez cesarki. Liz miała pojawić się w klinice położniczej w mieście nie później niż w trzydziestym szóstym tygodniu ciąży.

- Nie ma się czemu dziwić, skoro wyszłaś za mąż za dwumetrowego olbrzyma - tłumaczyła Christie zaprzyjaźnionej pacjentce. - Henry jest wyjątkowo potężnym mężczyzną, za to ty masz figurę małej dziewczynki. Nic na to nie poradzimy. Musisz jechać do Townsville.

Niestety, jak się okazało, młodzi małżonkowie zbyt długo odkładali podróż i oto blada, wystraszona Liz znalazła się teraz w miejscowym szpitaliku, a jej wysoki mąż stał obok łóżka i załamywał dłonie. Do tego oboje patrzyli na Christie z taką nadzieją, jakby potrafiła dokonać cudu.

- Możesz tutaj wykonać cesarskie cięcie? - zapytał Henry. - W Townsville mówili, że Liz za nic w świecie nie urodzi siłami natury. Musisz jej pomóc, błagam.

- Najpierw sprawdźmy, co się dzieje. - Jeszcze wczoraj Christie podłączyła ciężarnej kroplówkę z ventalinu na powstrzymanie akcji porodowej. Na początku lek zdawał się działać, ale teraz, ledwie odsunęła kołdrę i spojrzała na brzuch pacjentki, zrozumiała, że skurcze są zbyt silne, by je zatrzymać. Dziecko postanowiło dłużej nie czekać, tylko jak najszybciej wydostać się na świat.

Pomocy, westchnęła w duchu.

Zauważyła, że tętno noworodka spadło ze stu trzydziestu do stu uderzeń na minutę.

- Czy mam wezwać doktora Staną? - zapytała Louise, młodzianka pielęgniarka, która mimo niewielkiego doświadczenia zdążyła się już zorientować, że sytuacja jest poważna.

- Nie - zaprotestowała Christie.

Dziadek i tak nie był w stanie jej pomóc, a poczucie bezradności naraziłoby go tylko na kolejny niepotrzebny stres. Tylko jak ma sobie poradzić w pojedynkę? Że też zdecydowała się podjąć pracę na tej zapomnianej przez Boga i ludzi wyspie!

Jeszcze na studiach przyjaciele żartowali, że zrobi tu specjalizację z zakładania szwów poławiaczom krewetek i odsyłania poważniej chorych do miasta. Nikt nie rozumiał, dlaczego pociąga ją praca tym odludziu. Ale też nikt nie wiedział, że jako dziecko zaabsorbowanych własnymi zajęciami rodziców Christie spędzała wszystkie święta i wakacje u dziadków, którzy właśnie tutaj poświęcili się medycynie. I nikt poza nią nie wiedział, jakim szacunkiem i zaufaniem mieszkańcy wyspy darzyli oboje lekarzy.

Podobnie jak dziadkowie, Christie pokochała to miejsce, więc kiedy babcia Marta, powszechnie nazywana tu doktor Martą, umarła trzy lata temu, nie wahała się ani przez chwilę z podjęciem decyzji. Dziadek miał przecież siedemdziesiąt lat i nie mógł sam prowadzić szpitala.

A teraz została sama. Choroba Staną uniemożliwiła mu wykonywanie zawodu, a żaden nowy lekarz nie chciał podjąć pracy w tak odciętych od reszty świata miejscu. Szkoda, bo dzisiaj rzeczywiście potrzebowała pomocy fachowca.

Fakt, że tętno dziecka powoli słabło, świadczył o tym, że zaczyna ono odczuwać pewien dyskomfort. Co prawda jego stan wciąż był zadowalający, lecz Christie wiedziała, że nie ma czasu do stracenia. Jeśli chce uniknąć sytuacji, w której poza ratowaniem matki jednocześnie przyjdzie się jej zajmować niedomagającym noworodkiem, nie może dłużej zwlekać.

Tylko jak wykonać cesarskie cięcie bez asysty anestezjologa? Wiedziała, że szczególnie w przypadku przedwczesnego rozwiązania najbardziej wskazane jest znieczulenie zewnątrzoponowe. Jednak ten rodzaj anestezji wymaga stałego monitorowania pacjentki i dozowania leku, na co na pewno nie będzie mogła sobie pozwolić w trakcie operacji i odbierania porodu. Dlatego, chcąc nie chcąc, musi wybrać znieczulenie ogólne.

Może uda się jej skontaktować telefonicznie z anestezjologiem z kliniki w mieście i poprosić, by kierował działaniami Mary-anne, dzięki czemu mogłaby skoncentrować się na zabiegu? Zastanowiła się, czy nie poprosić dziadka, żeby usiadł przy telefonie.

Nie, to niemożliwe. Skąd ma mieć pewność, że znowu nie przytrafią mu się kłopoty z pamięcią i niedokładnie powtórzy pielęgniарce instrukcje albo, co gorsza, pomyli dawkowanie leków.

Cała nadzieja w tym, że dziecko urodzi się zdrowe i nie będzie musiała wybierać między ratowaniem matki a noworodka.

Jeszcze raz zbadała pacjentkę. Na szczęście, daleko było jeszcze do pełnego rozwarcia. Stan dziecka nadal nie dawał szczególnych powodów do niepokoju.

- Louise, idź do pokoju pana Tallenta i poproś Mary-anne, żeby tu zaraz przysłała. Sama zostań na oddziale i zajmij się pozostałymi pacjentami - poleciła i skupiła uwagę na ciężarnej.

Dzięki Bogu chociaż, że Mary-anne jest wykwalifikowaną położną.

- Posłuchaj, Liz - powiedziała, delikatnie zaciskając palce na dłoni wystraszonej kobiety. - Wiesz, że muszę wykonać cesarskie cięcie. Twój maluch chce jak najszybciej przyjść na świat i wcale nie zamierza czekać na poprawę pogody.

- Ale czy potrafisz poradzić sobie sama?

- Mary-anne jest z zawodu położną. - Christie uśmiechnęła się, by dodać pacjentce otuchy. - Wszystko będzie dobrze. Leż spokojnie i zastanów się, jak dacie na imię małemu.

- Zrobisz mi zewnątrzoponówkę? - Liz musiała sporo poczytać przed porodem.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Będę musiała wykonać ci zabieg w znieczuleniu ogólnym.

- O Boże!

- Nie bój się. Wszystko dobrze się skończy - zapewniła Christie z całą mocą, starając się nie okazać zwątpienia.

Mary-anne nie pojawiała się tak długo, że Christie zaczęła się obawiać, czy stan z któregoś z pozostałych pacjentów nie uległ nagłemu pogorszeniu.

Może Hugo Tallent zaczął uskarżać się na silniejszy ból głowy? Oczami wyobraźni zobaczyła dwoje pacjentów oczekujących jej pomocy na sąsiadujących stołach operacyjnych i aż zadrżała z przerażenia.

Nawet nie mogła pójść teraz na oddział i sprawdzić, co się dzieje. Pierwszeństwo bezwzględnie należało się Liz i jej jeszcze nie narodzonemu dziecku.

Starając się zachować spokój, wyjaśniła pełnym obaw małżonkom, jakie zamierza podjąć działania. Przygotowała sprzęt, nagrzała inkubator i właśnie przeszła do odmierzenia potrzebnej dawki leków, kiedy ktoś z impetem pchnął wahadłowe drzwi do sali.

Nareszcie, pomyślała Christie, odwracając głowę w kierunku wejścia, i oniemiała z wrażenia. Mary-anne nie była sama. Pchała przed sobą wózek na kółkach, na którym w zielonym szpitalnym szlafroku, z wyciągniętą do przodu nogą, siedział nie kto inny tylko Hugo Tallent.

- Nie mogłam nic zrobić. - Pielęgniarka bezradnie rozłożyła ręce. - Uparł się, że musi z panią porozmawiać.

No nie, jęknęła w duchu Christie. Tego tylko brakuje, żebym musiała teraz toczyć walkę z tym wariatem.

- Panie Tallent - odezwała się, próbując za wszelką cenę zachować spokój. - Jestem w tej chwili zajęta, a to jest oddział położniczy i pacjenci z pozostałych sal nie mają tu wstępu. Pani Myers właśnie zaczyna rodzić, więc bardzo proszę, żeby pan wrócił do łóżka. I to natychmiast!

- Mary-anne powiedziała mi właśnie, że przygotowuje się pani do cesarki - oświadczył pozbawionym emocji tonem.

- Owszem, ale...

- Nie poradzi pani sobie sama.

- A to niby dlaczego? - zachnęła się. - Mary-anne jest wykwalifikowaną położną.

- Potrzebny jest pani anestezjolog.

- Doprawdy? Ciekawe tylko, skąd mam go wziąć. - Bała się, że zaraz straci cierpliwość. - To naprawdę nie pańska sprawa. Powiedziałam już. Proszę wracać do siebie.

- Właśnie go pani znalazła - oznajmił takim tonem, że Christie nie miała wątpliwości, iż mówi poważnie. - Jestem wykwalifikowanym anestezjologiem i na pewno nie dam się teraz odprawić do łóżka. Służę pomocą.

Cisza, która zapadła po jego słowach, zdawała się trwać wieczność. Christie nie wierzyła własnym uszom. Czy to możliwe? Dopiero teraz zdała

sobie sprawę, jak bardzo boi się tego zabiegu i jak potwornie jest już zmęczona.

- Naprawdę mam uwierzyć, że jest pan anestezjologiem?

- wyjąkała w końcu.

- Owszem.

- Ale przecież jest pan...

- Półgłówkiem, tak? - roześmiał się. - Zgoda. Ale to, że beznadziejny ze mnie żeglarz, nie oznacza wcale, że jestem kiepskim lekarzem. - Spojrzał na wystraszoną kobietę na łóżku wzrokiem pełnym otuchy i głębokiego zrozumienia.

- Zrobiłem dyplom piętnaście lat temu - wyjaśnił, skupiając teraz uwagę na pacjentce. - A od pięciu lat pracuję jako anestezjolog w Royal South Hospital w Brisbane. Jeśli pani chce, proszę poprosić męża, żeby tam zadzwonił i sprawdził moje referencje. Spróbujcie sobie wyobrazić, że zostałem wynajęty przez tutejszy szpital specjalnie dla pani. I proszę mi wierzyć, jestem naprawdę bardzo kompetentny.

Z rozbawieniem spojrzął na szpitalny szlafrok.

- Może mój obecny strój nie jest zbyt odpowiedni na tę okazję, ale przecież nie szata zdobi człowieka. Mam duże doświadczenie w przygotowywaniu pacjentek do cesarskiego cięcia. Szczerze mówiąc, mógłbym to zrobić z zamkniętymi oczami. Więc jak? Pozwoli pani, żeby nie ubrany, jednonogi i dopiero co wyłowiony z morza niedoszły topielec podał pani znieczulenie?

Zarówno Liz, jak i Christie wpatrywały się bez słowa w jego uśmiechniętą twarz. Lekarka zdawała sobie sprawę, że cała przemowa Hugona ma na celu uspokojenie przerażonej pacjentki. Musiał wiedzieć, jak wiele zależy od psychicznego nastawienia rodzącej.

- Zapewniam, że czuję się dostatecznie dobrze, żeby przystąpić do operacji - dodał. - Co prawda po wczorajszym wypadku dokuczają mi trochę kolano i wciąż jeszcze boli mnie głowa, ale, co z pewnością ucieszy doktor Flemming, gdyby w grę wchodziło poważne uszkodzenie mózgu, ból byłby znacznie silniejszy. Tak więc czuję się całkiem nieźle. Oczywiście, pani doktor jest w stanie sama przygotować panią do zabiegu, ale pracując w pojedynkę, będzie musiała poddać panią narkozie i nie będzie miała nikogo do pomocy, żeby zajął się dzieckiem. Tymczasem ja mogę wykonać znieczulenie zewnątrzoponowe, tak żeby od razu powitała pani malucha na świecie, a w dodatku będę tu, żeby w razie potrzeby mu pomóc.

- Tylko że... - Liz chwyciła męża za rękę. Kolejny skurcz wykrzywił bólem jej twarz. - Nie wygląda pan na lekarza.

- To prawda. - Hugo uśmiechnął się ujmująco. - Ale, szczerze mówiąc, to samo można by powiedzieć o doktor Hemming. Ja przynajmniej nie jestem piegowaty i wyglądam na więcej niż dwanaście lat. Zgadza się, że mój obecny wygląd może nie wzbudzać szacunku, ale proszę nie dać się zwieść pozorom. Skoncentrujmy się na tym, co najważniejsze.

Ujął Liz za rękę. Ten jeden gest przekonał Christie ponad wszelką wątpliwość, że ma do czynienia z lekarzem, który już dziesiątki razy stawał przy łóżkach pacjentów, dodając im otuchy.

- Proszę mi zaufać, pani Myers. Dobrze?

- Tak - zgodziła się niezbyt pewnie. - Christie, będziesz operować?

- Oczywiście. Zaraz zabierzemy cię na blok, żeby powitać waszego niecierpliwego synka.

Dalej wszystko poszło jak z płatka.

Obniżyli stół, żeby Hugo nie musiał podnosić się z fotela. Na szczęście Christie nie była wysoka, więc niskie położenie pola operacyjnego, nie stanowiło szczególnego utrudnienia.

W trakcie przygotowywania się do zabiegu Christie przekazała ich nowemu anestezjologowi wszelkie istotne informacje na temat zdrowia pacjentki.

- Podawała jej pani sterydy? - zapytał.

- Owszem. Dostała wczoraj deksametazon, kiedy tylko pojawiły się skurcze.

- Świetnie. - Przez chwilę przyglądał się jej tak, że nie miała wątpliwości, że właśnie się zastanawia, z jakim to chirurgiem przyjdzie mu dziś współpracować.

Nieważne. Niech sobie patrzy, jak chce. To przecież cud, że w ogóle tu jest.

Przez pierwsze minuty zabiegu raz po raz spoglądała mu na rękę, ale szybko uwierzyła, że ma do czynienia z fachowcem. Każdy jego ruch, każde polecenie wydane pielęgniарce świadczyło o tym, że w sali operacyjnej czuje się równie pewnie jak w domu.

Gdyby przyszło się jej tłumaczyć przed izbą lekarską, dlaczego dopuściła do współpracy osobę nie posiadającą odpowiednich kwalifikacji, powie oczywiście, że działała w sytuacji zagrożenia życia. Jednak z każdą chwilą nabierała przekonania, że nie stanie wobec takiej konieczności, bo na pierwszy rzut oka widać było, że Hugo ma wieloletnie doświadczenie w zawodzie.

Skoncentrowała całą uwagę na pacjentce i dziecku. Znieczulenie zaczynało już działać. Sprawdziwszy jeszcze raz odruchy ciężarnej i jej wrażliwość na ból, Hugo spokojnie skinął głową.

- Można zaczynać.

Christie wiedziała, że nie ma na co czekać. Puls dziecka spadł do dziewięćdziesięciu pięciu uderzeń na minutę, a to oznaczało, że maluch nie może się już doczekać, by poznać rodziców.

Wykonała długie, poprzeczne nacięcie tak pewnym ruchem, że można by przypuszczać, iż robi to codziennie. W rzeczywistości ostatni raz przeprowadzała taką operację jeszcze przed przyjazdem na wyspę. Na szczęście, niczego nie zapomniała. Delikatnie odsłoniła pęcherz płodowy, który napięty był już do granic wytrzymałości, i nacięła błonę, dając wodom ujście.

Poczuła, że ktoś wkłada jej w dłoń kleszcze. To Hugo, który jakby odgadł jej myśli, podjął się roli instrumentariusz-ki. Główka noworodka znajdowała się dokładnie tam, gdzie powinna. Christie ucieszyła się, widząc, że pępowina nie jest owinięta wokół szyi. Żadnych komplikacji!

Nawet Henry nieźle się trzymał, a przecież miała okazję widzieć już niejednego mężczyznę osuwającego się na posadzkę w omdleniu podczas narodzin własnego dziecka. Jednak Henry Myers przez cały trzymał żonę za rękę i przemawiał do niej z czułością.

Christie delikatnie założyła kleszcze, by unieść główkę, po czym wyjęła noworodka i ułożyła go na brzuchu matki.

Teraz miała nastąpić najtrudniejsza część zabiegu. Trzeba opanować krwawienie i jednocześnie zająć się dzieckiem.

Dzięki Bogu, nie była sama. Usunęła łożysko, podczas gdy Hugo odciął i podwiązał pępowinę. Kątem oka widziała, jak oczyszcza drogi oddechowe malucha. Sama w tym czasie zajęła się zakładaniem szwów. Nie musiała wydawać żadnych poleceń, bo anestezjolog dokładnie wiedział, co robi. Był świetnym lekarzem i oboje stanowili idealny wręcz zespół.

Jeszcze chwila i było po wszystkim. Hugo przekazał noworodka Maryanne, by przedstawiła go rodzicom, a Christie poczuła napływające do oczu łzy wzruszenia. Jedno spojrzenie na młodą mamę i maleństwo powiedziało jej, że wszystko jest w porządku. W dodatku chłopczyk, jakby chciał pokazać, że jest silnym mężczyzną, wrzasnął tak głośno, że zapewne usłyszał go calusieńki szpital.

- Dobra robota! - Hugo uśmiechnął się do Christie.

- Pan też się świetnie spisał - zrewanżowała mu się, zadowolona z komplementu.

- Tyle że ja zajmuję się anestezjologią na co dzień, a pani dała pokaz modelowego wręcz zabiegu chirurgicznego w wykonaniu internisty.

Mimo że Christie nie była łasa na pochwały, słowa uznania ze strony kolegi po fachu sprawiły jej ogromną przyjemność. Poczwała się fantastycznie.

- Jest pani zmęczona - zauważył, sprawdzając poziom płynów infuzyjnych w kroplówce. - Proszę się teraz położyć, a ja z Mary-anne zajmujemy się wszystkim.

Co to, to nie! Co prawda zgodziła się, by obcy lekarz pomógł jej w zabiegu, ale przecież nie może powierzyć jego opiece całego szpitala. Poza tym nadal dokucza mu ból głowy i nie pozbył się resztek zalegającej w płucach wody.

- Nic z tego - oznajmiła. - Mary-anne, mogłabyś poprosić Louise, żeby odwiozła pana Tallenta do łóżka?

- Doktora Tallenta - poprawił. - Chyba że nadal pani nie wierzy, że jestem lekarzem.

- Wierzę. Tylko wciąż jest pan też pacjentem, który wczoraj doznał urazu czaszki.

- To znaczy, że nadal obawia się pani, czy nie trzeba będzie wiercić dziury w mojej głowie? - zażartował.

- Nie. Ale niech pan już wraca do łóżka, proszę. - Była tak wyczerpana, że nawet myślenie przychodziło jej z trudem. Musi na chwilę zostać sama, by wziąć się w garść.

Najwyraźniej Hugo czytał w jej myślach, bo nie próbował dłużej nalegać.

- Jak sobie pani życzy, doktor Flemming - uśmiechnął się. - Doktor Tallent zawsze wie, kiedy powinien opuścić towarzystwo, w którym nie jest mile widziany. Siostrze, proszę mnie stąd wywieźć - polecił, kiwając jej dłonią na pożegnanie.

Christie jeszcze raz sprawdziła stan młodej matki oraz dziecka i na wszelki wypadek umieściła noworodka w inkubatorze, mimo że poza delikatnymi włoskami pokrywającymi skórę nie wykazywał żadnych objawów wcześniactwa. Gdyby urodził się o czasie, ważyłby pewnie ponad cztery kilo. Teraz miał trzy i pół kilograma i Christie oceniła go na siedem punktów na skali Apgara.

- Wszyscy mieliśmy dużo szczęścia - oznajmiła, uśmiechając się do Liz.

- Wiem. Jest cudowny, prawda?

- Owszem. - Christie spojrzała czule na malucha.

- Nie mówię o nim - roześmiała się młoda matka.

Liz i Christie łączyła wieloletnia przyjaźń. Były w tym samym wieku i jeszcze jako małe dziewczynki spędzały sporo czasu razem, włócząc się po wyspie. Teraz, pod nieobecność Henry'ego, który poszedł do telefonu, żeby zawiadomić bliskich o szczęśliwych narodzinach potomka, Liz jakimś cudem znalazła w sobie dość sił, by pożartować z przyjaciółki.

- Dzidzius jest rzeczywiście wspaniały, ale miałam na myśli naszego doktora Tallenta.

- Ach tak...

- Na pewno jest bardziej interesującym pacjentem niż ja - powiedziała szeptem. - I nie próbuj mnie oszukiwać, że ci się nie podoba.

Czyżby Liz miała rację?

Christie udała się do dyżurki pielęgniarek, zaparzyła sobie szatańsko mocną kawę i wyciągnęła się w fotelu. Jak dobrze jest przynajmniej przez chwilę odpocząć.

Wróciła myślami do słów przyjaciółki. Może rzeczywiście Hugo Tallent wzbudził jej zainteresowanie?

Nonsens. Przecież nic o nim nie wie. Co prawda przekonał ją, że jest dobrym anestezjologiem, ale nadal mogła na jego temat powiedzieć jedynie to, że pochodzi z Brisbane. Może, na przykład, ma żonę i trójkę dzieci? Albo jest gejem? Chociaż nie. Sposób, w jaki się jej przyglądał, raczej wyklucza taką możliwość. Już prędzej uwierzy, że jest nieprzyzwoitym wręcz kobieciarzem.

Zmarszczyła czoło, dziwiąc się, że w ogóle wdaje się w takie rozważania. Bo przecież doktor Christie Flemming ma czas na wszystko, tylko nie na życie osobiste.

Decydując się na podjęcie pracy na wyspie, zdawała sobie sprawę, że jej szansa na wyjście za mąż spadnie do zera. Tutejsi mieszkańcy traktowali ją z szacunkiem należnym lekarzowi, ale gdyby jakikolwiek miejscowy młodzieniec zapalał do niej uczuciem, natychmiast odesłaliby go gdzieś daleko, z obawy, że obarczona rodziną nie będzie mogła poświęcić im dostatecznie dużo czasu.

Kiedy dziadkowie zamieszkali tu ponad czterdzieści lat temu, byli już małżeństwem. Christie sprowadziła się sama i nic nie wskazywało na to, żeby jej sytuacja mogła ulec zmianie.

I co z tego? - powiedziała sobie w duchu i wstała z fotela. Ledwie trzymała się na nogach. Ale po kilkudziesięciu godzinach spędzonych bez zmrużenia oka miała prawo odczuwać zmęczenie. Na szczęście, mogła sobie teraz pozwolić na chwilę wytchnienia. Wpadnie do domu na kolację i utnie sobie godzinną drzemkę przed wieczornym obchodem.

Obudziła się o siódmej następnego ranka.

Otworzyła oczy, spojrzała na zegarek i aż krzyknęła ze zgrozą. Spała trzynaście godzin.

Miała na sobie te same dżinsy i sweter, w których się położyła, ale teraz przez okno sypialni wpadały do wnętrza jasne promienie słońca, wzburzone przez sztorm fale mieniły się w blasku poranka, a ponieważ wreszcie przestało padać, wszelkie ptactwo żyjące na wyspie zdawało się radośnie witać nadchodzący dzień.

Co z dziadkiem? - pomyślała w panice i zerwała się na równe nogi. Nawet nie zajrzała do niego w ciągu nocy.

Od czasu, kiedy zapadł na zdrowiu, Christie co najmniej raz na cztery godziny sprawdzała, czy śpi wsparty wysoko o poduszki i czy nic nie utrudnia mu oddychania. Jak to możliwe, że tym razem zaniedbała tak podstawowego obowiązku?

Przecież musieli dzwonić ze szpitala. Więc dlaczego nie usłyszała ani dzwonka telefonu, ani budzika? Powinna była ponownie zbadać Liz i noworodka, sprawdzić stan doktora Tallenta, Mary Adams i Bena...

Jednak zanim popędzi do szpitala, musi zobaczyć, co się dzieje z dziadkiem.

Wpadła do sypialni Staną i aż jęknęła z wrażenia. Łóżko było puste.

- Dziadku! - krzyknęła.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, pobiegła do drzwi wejściowych i wyjrzała przed dom. Odetchnęła, widząc, że wsparty o balkonik starszy pan idzie w kierunku domu ścieżką prowadzącą brzegiem morza. Obok niego rzeźki i tym razem kompletnie ubrany jechał na wózku Hugo Tallent.

Christie zajmowała z dziadkiem dwa połączone rybackie domki z kamienia, położone około pół kilometra od szpitala. Zazwyczaj, ze względu na chorobę Staną, pokonywali drogę samochodem, ale tym razem starszy pan szedł o własnych siłach. Hugo, dla którego popychanie kół wózka nie stanowiło żadnego problemu, musiał mocno uważać, by dostosować prędkość do powolnego kroku towarzysza.

Dostrzegłszy jej sylwetkę w otwartych drzwiach, dziadek uśmiechnął się i pomachał jej wesoło na powitanie.

- Dzień dobry! - zawołał. - Dobrze ci się spało? Zarówno Stan Flemming, jak i doktor Tallent wprost tryskali humorem.

- Piękny poranek, prawda? - zauważył Hugo na powitanie. - Szkoda tylko, że ciągle tak wieje. Mam wrażenie, że gdybym zamontował żagiel do wózka, byłbym już na drugim końcu wyspy. Pani dziadek zaprosił mnie na śniadanie. Obiecał grzanki pieczone nad ogniem, świeże wiejskie masło i

dżem truskawkowy własnej roboty. Oczywiście, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

- Nie, skądże. W końcu to dom dziadka - odrzekła, odgarniając włosy z czoła.

Może jeśli choć trochę uporządkuje fryzurę, niespodziewany gość przestanie się jej tak dziwnie przyglądać?

- Chyba nie jest pani zachwycona moją wizytą? Jak pan myśli, panie Flemming? Może nie powinniśmy byli nachodzić pana wnuczki bez uprzedzenia?

- Raczej jest wściekła, że znowu spała w ubraniu. Ale cóż, od pewnego czasu rzadko ma okazję normalnie się wyspać. Christie, idź teraz do łazienki i weź prysznic, a my tymczasem zajmiemy się śniadaniem.

- Ale... - Rozejrzała się wokół bezradnie. - Muszę sprawdzić, co się dzieje w szpitalu.

- Wcale nie musisz. Hugo i ja zajęliśmy się wszystkim.

- Nie bardzo pojmuję. Hugo i ty? A co właściwie zrobiliście? - Świetnie zdawała sobie sprawę, jak łatwo dziadek mógł popełnić pomyłkę, jeśli na przykład sam zaczął ordynować leki.

- Nie obawiaj się.

Starszy pan zazwyczaj mocno się denerwował, ilekroć zdarzyło się jej powątpiewać w sprawność jego umysłu. Chociaż zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu pracować, bardzo trudno przychodziło mu pogodzić się z własną słabością. Jednak tym razem zareagował bez złości.

- Kiedy spałaś tu wczoraj tak smacznie, odbyliśmy sobie z tym oto młodym człowiekiem dłuższą pogawędkę. Wiedziałem, że jesteś u kresu sił, a tymczasem my dwaj mogliśmy sobie wzajemnie pomóc. Więc po kolejnej sesji fizjoterapii, kiedy okazało się, że płuca Huga są już czyste, wymyśliliśmy system.

- System?

- Po pierwsze, przysłaliśmy tu Louise, żeby wyłączyła budzik - wyjaśniał Stan z przewrotnym błyskiem w oczach. - A potem razem z doktorem Tallentem zrobiliśmy obchód, w czasie którego wszystkim go przedstawiłem. Razem przestudiowaliśmy karty i wydaliśmy odpowiednie polecenia.

Christie spojrzała na Hugona, który tylko nieznacznie skinął głową. Całkowity spokój malujący się na jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że nic złego się nie wydarzyło.

- Ale dziadku...

- Potem Hugo zaproponował, żebym położył się spać w szpitalu, aby w razie konieczności mógł mnie obudzić. Ale nie było takiej potrzeby, bo noc była zupełnie spokojna. Tylko starszej pani Greyson obluzowała się kropłówka, ale tym sam się zajął, uznając całkiem słusznie, że ma sprawniejsze palce od moich.

Christie z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Co z Benem? Chciałam przy nim wczoraj posiedzieć.

- Hugo odbył z nim wieczorem długą rozmowę i chłopak, podobnie jak ty, spał przez całą noc jak kamień. Byliśmy u niego przed chwilą. Mały czuje się naprawdę dobrze. Więc przestań się zamartwiać, tylko doprowadź się wreszcie do porządku. Choć raz nie musisz się spieszyć.

Stała pod prysznicem pogrążona w zadumie. Miała wrażenie, że nagle ubyło jej lat. Nie tylko dlatego, że się nareszcie wyspała. Od czasu wylewu dziadka żyła w stałym napięciu. Tymczasem Hugo Tallent zdołał zapewnić jej trzynaście cudownych godzin kompletnego spokoju.

Nie wiedziała, jak zdołał przekonać starego doktora, by został na noc w szpitalu, ale musiała przyznać, że było to z jego strony znakomite posunięcie. Nie musiała pytać, by domyślić się, że Hugo polecił pielęgniarce zaglądać do śpiącego i w razie potrzeby poprawiać mu poduszki. Gdyby Stan nie oddychał prawidłowo tej nocy, nie byłby teraz w tak świetnej formie.

Przespała trzynaście godzin i nic złego się nie wydarzyło! Poczula się tak, jakby, wygrała milion dolarów.

Wytarła się i włożyła czyste dżinsy i świeżą koszulkę, potem wyszczotkowała mokre, skręcone włosy i wreszcie spojrzała w lustro. Dziwne, ale odniosła wrażenie, że wygląda dziś inaczej niż zwykle.

Wróciwszy do kuchni, zastała obu mężczyzn przy kominku. Hugo właśnie opiekował grzankę nad płomieniem. Na widok Christie szeroko otworzył oczy.

- O rany! - powiedział z szerokim uśmiechem.

Mimo braku jakichkolwiek śladów makijażu wyglądała naprawdę rewelacyjnie. Stan Flemming musiał zauważyć zachwyt młodszego kolegi, bo uśmiechnął się pod nosem.

- Całkiem ładna ta moja Christie, prawda?

- To mało powiedziane, proszę pana. O niebo ładniejsza od wszystkich lekarek, z którymi miałem dotąd do czynienia.

- Przestańcie. - Christie oblała się rumieńcem. Nie wiedząc czemu, w towarzystwie doktora Tallenta czuła się coraz bardziej nieswojo. - Przepraszam, ale teraz naprawdę muszę już biec do szpitala.

- Glenys trzyma rękę na pulsie i ma zadzwonić, gdyby cokolwiek wzbudziło jej niepokój - wyjaśnił Hugo.

- Glenys? - zdziwiła się.

- To przełożona pielęgniarek. Nie pamięta pani?

- Wiem, kim jest Glenys - rzekła Christie z naciskiem - ale nie miałam pojęcia, że zdążył ją pan poznać.

- Poznałem już wszystkich pracowników szpitala - pochwalił się. - A Mary-anne nawet pożyczyła mi trochę garderoby swojego męża, żebym miał się w co ubrać - wyjaśnił, wskazując dłonią na koszulę khaki oraz beżowe spodnie - i opowiedziała mnóstwo ciekawych rzeczy o wyspie i jej mieszkańcach. Gdyby miała pani ochotę na garść świeżych plotek, służę z przyjemnością.

- Ale...

- Może poczęstuje się pani grzanką. Są naprawdę pyszne.

- Dziękuję, ale muszę iść. Liz i jej dziecko...

- Mały Myers nauczył się ssać. Jest już po pierwszym karmieniu i ośobiście uważam, że może opuścić inkubator, ale postanowiliśmy poczekać z decyzją na panią.

- Poza tym masz obejrzeć nogę Hugona. Nie chce dłużej poruszać się na wózku, ale uznałem, że zanim wstanie, ktoś z lepszym niż mój wzrokiem powinien obejrzeć to kolano - wtrącił dziadek. - Więc zabroniłem mu wstawać, dopóki mu na to nie zezwolisz. Sama widzisz, że kiedy połączyliśmy siły, to się okazało, że razem tworzymy całkiem niezłego lekarza.

Christie przyjrzała się dziadkowi, który spokojnie popijał herbatę, i poczuła ściskanie w gardle. Od dawna nie widziała go w tak dobrym humorze. Choroba i wiążące się z nią upokarzające ograniczenia sprawiły, że Stan Flemming popadł w stan głębokiego przygnębienia. Hugo przywrócił mu godność.

Sięgnęła po chusteczkę i wytarła nos.

- Mam nadzieję, że to nie katar - powiedział Hugo i jedynie błysk zrozumienia w jego oczach zdradził, że czyta w jej myślach.

- Nie, to uczulenie. Wszystko przez ten wiatr.

- No i siano jeszcze nie zebrane. Rozumiem. - Pokiwał głową, kierując wzrok na ciągnącą się za oknem plażę.

- Sam pan doskonale wie, że nie tylko siano potrafi wywołać alergię.

- Jestem jedynie skromnym anestezjologiem i beznadziejnym żeglarzem.

- Roześmiał się, zdejmując grzankę z patyka. - Ale teraz mam jeszcze jeden

fach w rękę. - Z dumą obejrzał równiutko zrumieniony chleb. - Proszę spróbować, doktor Flemming. Ręczę, że będzie to pani smakowało.

Nie mylił się. Prawdę mówiąc, dawno już nie jadła śniadania z takim apetytem.

Mężczyźni raz po raz wybuchali gromkim śmiechem. Obaj nie przestawali żartować, przy czym Hugo przez cały czas traktował starszego towarzysza z najwyższym szacunkiem. Zadawał mnóstwo inteligentnych pytań i z uwagą słuchał odpowiedzi, wtrącając od czasu do czasu jakąś wesołą anegdotę. Christie nie mogła sobie przypomnieć, by od śmierci babci w domu panowała równie beztroska atmosfera.

Oboje z dziadkiem zdawali się ją chłonać jak powietrze. Jakby chcieli się nią nacieszyć przed rychłym, nieuniknionym wyjazdem przybysza.

Zjadła aż cztery grzanki i wypila trzy filiżanki kawy. Kiedy w końcu spojrzała na zegarek, właśnie minęła dziewiąta: Szczęście nie może trwać wiecznie, pomyślała, niechętnie podnosząc się z krzesła. O dziesiątej zaczynała dyżur w przyszpitalnej przychodni.

- Proszę najpierw obejrzeć mi nogę - poprosił Hugo. - Nie wytrzymam dłużej w tym wózku, a pani dziadek zagroził, że przykuje mnie do niego łańcuchem, jeśli będę próbował wstać bez pani błogosławieństwa. Tymczasem czeka mnie mnóstwo pracy.

- I tak nie może pan jeszcze opuścić wyspy - powiedziała może odrobinę za szybko.

- Wiem. - Uśmiechnął się, patrząc jej prosto w oczy. - I proszę mi wierzyć, że coraz mniejszą mam na to ochotę, ale muszę zająć się jachtem. Odbyłem wczoraj kilka rozmów przez telefon i jeśli nie mają państwo nic przeciwko temu - skierował spojrzenie na Staną - chciałbym pozostać tutaj do piątku.

To znaczy jeszcze pięć dni, pomyślała Christie z radością, po czym skarciła się w duchu. Co za różnica, kiedy wyjedzie. Nie wolno jej przecież zapomnieć, że przede wszystkim jest lekarzem i w jej życiu nie ma miejsca na mrzonki, z których nic dobrego wyniknąć i tak nie może.

- Oczywiście. Prawda, dziadku?

- Mary-anne mówiła, że po drugiej stronie wyspy jest niewielki pensjonat, w którym mógłbym się zatrzymać.

- Wybierz sobie z głowy, drogi chłopcze. Możesz zamieszkać z nami, prawda, Christie? - zaproponował Stan, zanim zdążyła otworzyć usta. - Mamy przecież wolny pokój.

- Nie wiem, jak dziękować.

- Nie dziękuj mi, młody człowieku, bo to czysto handlowa propozycja. W charakterze zapłaty masz nam co rano podawać grzanki i opowiadać, co się dzieje na świecie. -Starszy pan zachichotał. - Bo czasami oboje zaczynamy tu usychać z nudów.

Dziwne, westchnęła w duchu Christie. Dziadek nigdy dotąd nie uskarżał się na nudę. Pomyślała, że pewnie coraz bardziej doskwiera mu samotność.

- Z największą przyjemnością. I jeszcze raz dziękuję. A teraz - spojrzał na Christie z rozbawieniem - może mógłbym wreszcie ściągnąć te spodnie i pokazać pani kolano, doktor Flemming?

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Na pierwszy rzut oka noga nie wyglądała najgorzej. Christie zamierzała przeprowadzić dokładniejsze badanie w szpitalu, ale Hugo Tallent uparł się, że za nic w świecie nie wróci tam w charakterze pacjenta.

- Nie mam nic przeciw szpitalom, pod warunkiem, że to ja trzymam stetoskop - stwierdził nie znoszącym sprzeciwu tonem.

Właściwie nie powinno jej to robić różnicy. Jednak widok mężczyzny ubranego w same slipy na łóżku w jej własnym domu wprawił ją w zakłopotanie. Co gorsza, Hugo wyraźnie zauważył jej zmieszanie, bo mimo bólu, jaki musiała mu sprawiać, raz po raz uciskając opuchniętą nogę, nie przestawał łobuzersko się uśmiechać.

- Mam nadzieję, że nie próbuje pan strugać bohatera?

- A co? Sądzi pani, że zaciskam zęby, żeby nie krzyczeć? Nie, pani doktor, to nie w moim stylu.

- To znaczy, że ból nie jest zbyt silny?

- Tępy i dość dokuczliwy, jak zawsze przy tego typu urazach. Ale wyraźnie czuję, gdzie mnie pani dotyka, czyli nie doszło do uszkodzenia nerwów. A naderwane ścięgna i mięśnie same się z czasem zagoją, prawda?

- Raczej tak - roześmiała się przyjaźnie, ale szybko pożałowała, że okazała pacjentowi sympatię, bo odwzajemnił się tak niebezpiecznie czarującym uśmiechem, że twarz Christie oblała się rumieńcem.

- Może pan włożyć spodnie - rzekła odrobinę ostrzej, niż zamierzała. - Sądzę, że właściwie można już odstawić wózek, ale proszę pożyczyć łaskę od dziadka. Ma ich całą kolekcję.

- Oczywiście, pani doktor.

Usiadł na łóżku i obdarzył ją kolejnym szelmowskim uśmiechem. Jakby nie mógł po prostu wstać i naciągnąć spodni.

- Pewnie nie macie tu żadnej taksówki?

- A kto by jej potrzebował? Wyspa ma ledwie nieco ponad dziesięć kilometrów długości. Czasem dobrze jest się przespacerować, doktorze Tallent.

- Szczególnie z moim kolanem.

- A dokąd się pan wybiera?

- Chciałbym pojechać na przystań, żeby obejrzeć łódź.

- W szopie stoi samochód dziadka - oznajmiła po chwili wahania, uznawszy, że nawet gdyby chciał, nie miałby dokąd uciec. - Jest stary, ale na chodzie. Dziadek na pewno chętnie go panu pożyczy, zwłaszcza jeśli...

- Jeśli zaproponuję mu przejażdżkę, tak? - Znowu jakby czytał w jej myślach.

- Właśnie! - Rozpromieniła się, widząc, że Hugo rozumie, że po latach aktywnej pracy Stanowi najdotkliwiej doskwiera beczynność.

- Uczynię to z największą przyjemnością - zapewnił. - A teraz chyba muszę się ubrać, bo wydaje mi się, że ktoś puka. Spodziewa się pani gości?

Kiedy wyszła do przedpokoju, dziadek zdążył już otworzyć drzwi. W progu stała Mandy King. Mimo że skończyła siedemnaście lat, nie nabrała jeszcze kobiecych kształtów. Była chuda, wysoka i cicha jak myszka. Jej jasne włosy były związane w dwa niechlujne kucyki, a ubranie zdawało się na niej wisieć jak na kijku. Mimo to Christie była przekonana, że niebawem z tej nieatrakcyjnej istoty wyrośnie prawdziwa piękność.

Znała Mandy od dziecka i darzyła ją ogromną sympatią. Matka dziewczynki była niezwykle przystojną kobietą, która nie umiała pogodzić się z niepozornym wyglądem córki. Christie czasem odnosiła wrażenie, że gdyby nie pani King, Mandy przywiązywałaby większą uwagę do własnej aparycji. Ale uznawszy, że nigdy nie zdoła zadowolić matki, w ogóle przestała się starać.

Tym razem jednak to nie nieporozumienia rodzinne przywiodły Mandy do domu Flemmingów. Z twarzą zalaną łzami dziewczyna weszła do przedpokoju, tuląc w ramionach małego, kudłatego terierka.

- Co się stało? - zapytał Stan, prowadząc Mandy do kuchni.

Znał ją od urodzenia, gdyż to właśnie on powitał ją na świecie. Podobnie zresztą jak prawie wszystkich mieszkańców wyspy, którzy nie ukończyli jeszcze czterdziestu lat.

- Czyżby coś przytrafiło się Scrubbitowi?

Piesek Mandy cieszył się sławą w całej okolicy. Sześć lat temu, kiedy matka zabroniła jej zatrzymać szczeniaka, dziewczynka rozpoczęła strajk głodowy, który przeszedł do historii wyspy. Kiedy po pięciu dniach bez jedzenia i picia mała straciła przytomność, niezłomna dotąd pani King musiała ustąpić.

- Albo zgodzi się pani na psa, albo straci pani dziecko - powiedział jej wtedy Stan po zbadaniu dziewczynki.

I tak Mandy po raz pierwszy w życiu odniosła zwycięstwo nad matką. A teraz na jej twarzy malowała się rozpacz.

- On nie może chodzić - dodała, przelękając łzy. - Tamtej nocy, kiedy Ben o mało nie utonął, pobiegłam z innymi na przystań. Scrubbit był z nami, a potem nagle gdzieś zniknął. Kiedy nie wrócił do domu na noc, zaczęłam go szukać i po paru godzinach znalazłam pod pomostem. Leżał

skulony i w ogóle nie mógł chodzić. Kiedy go zawołałam, wyczołgał się z kryjówki, ale wydaje mi się, że ma sparaliżowane tylne łapy.

Christie ostrożnie wyjęła psa z objęć zapłakanej właścicielki i posadziła go na kuchennym stole.

Rzeczywiście, terier nie był w stanie utrzymać się na łapach. Próbował podciągać się na przednich kończynach, ale tylne nogi miał całkowicie bezwładne.

Nawet nie pisnął, kiedy Christie zaczęła go badać, tylko rozglądał się po obecnych mądrymi, ufnymi oczami.

- Mama powiedziała, że Scrubbita trzeba uspić i kazała tacie się tym zająć. Chciałam przyjść do was już wczoraj, ale mama zagroziła, że jeśli tylko spróbuję, od razu własnoręcznie go utopi, bo masz teraz za mało czasu, żeby zajmować się jakimś zwierzakiem. A ja sama nawet nie mam ci czym zapłacić... - Mandy usiadła na krawędzi krzesła i ukryła twarz w dłoniach.

- Hej! Co się dzieje? - W drzwiach kuchni właśnie ukazała się rosla sylwetka doktora Tallenta.

- Mandy przyniosła nam chorego psiaka - wyjaśniła Christie na pozór obojętnym tonem, choć coraz trudniej przychodziło jej udawać, że nie dostrzega w Hugonie mężczyzny. - A ty nie martw się o pieniądze. - Szybko odwróciła głowę w kierunku dziewczynki. - Przyjaciół leczymy za darmo.

- Nie macie tu na wyspie żadnego weterynarza? - zdziwił się Hugo.

- Nie. - Christie pokręciła głową. - To moje dodatkowe zajęcie.

- A ma pani odpowiednie przygotowanie?

- Po pierwsze mam podręczniki, a po drugie nie mam wyboru - odparowała i skupiła uwagę na zwierzęciu. - Popatrz, Mandy, jego tylne łapy reagują na ból. Widzisz, jak mu się zmienia pyszczek, kiedy go tu dotykam? Dziadku, możesz mi podać stetoskop?

Stan Flemming otworzył szufladę szafki i podał wnuczce słuchawki z takim wyrazem twarzy, jakby badanie zwierząt na kuchennym stole było powszednim zwyczajem w tym domu. Tymczasem Hugo miał wrażenie, że śni. Nigdy dotąd nie oglądał medycyny w takim wydaniu.

- Nie ma problemów z sercem, Mandy - pocieszyła Christie dziewczynkę, odkładając stetoskop. - To silny piesek. Przytrzymaj go, proszę, to zmierzę mu temperaturę.

- Mam nadzieję, że ma pani jeszcze jeden dla ludzi - zauważył Hugo chłodno, kiedy umieściła termometr pod ogonem pacjenta.

- Oczywiście. Trzymamy oddzielny zestaw narzędzi dla zwierząt.

- Chwała Bogu... To znaczy, że często leczy pani zwierzęta? - zapytał po chwili namysłu.

- Ktoś przecież musi to robić. Przynajmniej dopóki nasza Mandy - wskazała głową na dziewczynę - nie zrealizuje swoich marzeń i nie zostanie weterynarzem.

Temperatura była prawie w normie.

- To znaczy - Christie wyjaśniła - że jeśli nawet był w szoku, już z niego wyszedł.

- Przez całą noc go głaskałam - szepnęła Mandy. - W tajemnicy przed mamą wzięłam go do łóżka i obłożyłam butelkami z ciepłą wodą.

- To bardzo dobrze, bo szczególnie na początku najbardziej potrzebował ciepła. Niewykluczone, że uratowałaś mu życie.

- Ale co mu się stało?

- Sądzę, że potracił go samochód. Przyjrzyj się jego łapkoms. Ma popękane pazurki.

- Ale to znaczy - dodała Mandy drżącym głosem - że pewnie ma uszkodzony kręgosłup. Mama pewnie ma rację, że trzeba będzie go uśpić. Tak bardzo go kocham, ale nie mogę pozwolić, żeby się męczył.

Dzielną małą, pomyślał Hugo.

Przez cały czas przyglądał się poczynanioms Christie jak urzeczony. Jeszcze kilka dni temu nie uwierzyłby, gdyby ktoś próbował go przekonać, że tak wygląda praca lekarza z dala od głównego ładu.

- Nie traćmy jeszcze nadziei. - Christie próbowała dodać Mandy otuchy. - Skoro spędziłaś z nim całą noc, na pewno możesz udzielić mi jeszcze kilku ważnych informacji. Ma trudności z oddawaniem moczu?

- Nie. Rano był bardzo niespokojny, więc domyśliłam się, że boi załatwić się w domu. Wyniosłam go do ogrodu i od razu zrobił siusiu, chociaż musiałam przytrzymać mu pupę.

- Znakomicie. Możemy więc założyć, że nie doszło do poważniejszych obrażeń wewnętrznych. A skoro trzyma mocz, to znaczy, że mięśnie pracują i wcale nie jest powiedziane, że ma pęknięty kręgosłup. Trzeba będzie go zabrać do szpitala na prześwietlenie.

Hugo spojrział na Christie z kompletnym niedowierzaniem.

- Czy władze wiedzą - zapytał - że używa pani szpitalnego aparatu rentgenowskiego do leczenia zwierząt?

- Nie, doktorze Tallent. Ale dowiedzą się, jeśli złoży pan odpowiednie doniesienie - parsknęła ze złością.

- Co też przyszło pani do głowy? Oczywiście, że tego nie zrobię.

- To dobrze, bo zmuszona byłabym zażądać podwójnego honorarium i policzyć panu za pokój. Mieszkańcy tej wyspy biorą udział w finansowaniu szpitala i dlatego ich psy też mają prawo się leczyć. - Zacisnęła usta. - Poza tym Scrubbit poluje na szczury, dzięki czemu znacznie przyczynił się do zmniejszenia ryzyka wystąpienia pewnych chorób. I dlatego zrobię mu to zdjęcie, i to za darmo.

- A co takiego robi koza pani Rannikin, że ją też wzięłaś na rentgen? - Przemowa Christie na temat zasług jej podopiecznego najwyraźniej rozbawiła właścicielkę psa.

- Zajmuje się tępieniem chwastów - wyjaśniła Christie, dziękując Bogu za to, że widzi dziewczynę w lepszej formie. - Podobnie jak kozioł Brutus, który upodobał sobie pokrzywy. No ale nie traćmy więcej czasu - powiedziała, delikatnie biorąc pieska na ręce. - Idziesz ze mną, Mandy?

- Mogę wam towarzyszyć? - wtrącił Hugo. Ciekawość za nic nie pozwoliłaby mu zostać w domu. - A poza tym, o ile pamiętam, wspominała pani, że w przychodni czekają pacjenci. Pewnie zaczynają się już niecierpliwie.

- Mieszkańcy wyspy wiedzą, że ofiary wypadków zawsze mają u mnie pierwszeństwo. Nawet jeśli są nimi psy.

Dojechawszy do szpitala, Christie udała się prosto do gabinetu rentgenologicznego. Ku zdziwieniu Hugona nikt nie okazał najmniejszego zaskoczenia na widok ich małej procesji. A ledwie lekarka zdążyła wywołać zdjęcia, przełożona pielęgniarek uchyliła drzwi i wetknęła głowę do gabinetu.

- I jak, pani doktor? Co mu jest?

- Ma pękniętą miednicę i kość udową - poinformowała Christie. - Na szczęście, bo wszyscy obawialiśmy się, że może mieć uszkodzony kręgosłup.

- To znaczy, że się wyliże?

- Mam nadzieję, że tak. Ilu pacjentów czeka w przychodni?

- Kilka osób - odrzekła Glenys spokojnie. Nawet nie próbowała ponaglać Christie.

- Powiedz im, że przyjdę za dziesięć minut.

Cała ta sytuacja, rozmyślał Hugo, byłaby w mieście nie do pomyślenia. Pacjenci czekający spokojnie w kolejce, aż pani doktor skończy zajmować się psem!

Tymczasem Christie przywołała Mandy i pokazała jej zdjęcia.

- Popatrz tutaj. Widzisz to pęknięcie biegnące w poprzek miednicy? Nie jest groźne i z czasem powinno samo się zrosnąć. Kość udowa wygląda nieco gorzej, bo jest strzaskana w kilku miejscach.

- Ale będzie żył?

- Na pewno - odrzekła, przyglądając się doktorowi Tallentowi badawczo.

- Szczególnie że akurat odwiedził nas znakomity anestezjolog.

- Ja?! - oniemiał Hugo.

- A słyszał pan o jakimś innym anestezjologu na wyspie? - W oczach Christie pojawiły się przewrotne ogniki. - Doktor Tallent zastanawiał się, jak ma się odwdziaczyć za naszą gościnność. Właśnie ma okazję. - Spojrzała na Mandy i coś w twarzy dziewczyny powiedziało jej, że pojawiły się dodatkowe problemy, które muszą teraz wyjaśnić.

- Twoja mama myśli, że jesteś w szkole, tak?

- Właśnie.

- A zapytała rano o psa?

- Nie. Pewnie myśli, że już zdechł.

- A nie będzie miała pretensji, jak Scrubbit wyzdrowieje i wróci do domu?

- Chyba nie.

- W takim razie zastanówmy się, co zrobić. Mama pewnie będzie się gniewać, kiedy się dowie, że nie poszłaś do szkoły. Wiesz co? Zadzwoń do panny O'Shea i wszystko jej wyjaśnię. - Christie zerknęła na zegarek. - Jest dopiero dziesiąta, więc jeśli pobejdziesz teraz na lekcje, poproszę ją, żeby nie wspominała mamie, że się spóźniłaś.

Znając od lat dyrektorkę szkoły, Christie wiedziała, że poznawszy okoliczności, na pewno nie wyda uczennicy.

- Ale mam zostawić Scrubbita samego?

- Nic mu nie będzie, obiecuję. Muszę teraz zająć się pacjentami w przychodni, a doktor Tallent powinien się jeszcze trochę podksztalić w znieczuleniu małych zwierząt. Nie zaczniemy zabiegu, dopóki nie wrócisz ze szkoły.

- A będę mogła popatrzeć?

- Skoro masz zostać weterynarzem...

- Chciałabym, ale nie wiem, czy mama zgodzi się wysłać mnie na studia. Ale... - Mandy wróciła myślami do psa. - Na czym właściwie będzie polegać operacja?

- Usuniemy główkę kości udowej. Nie mamy wyboru, bo sama widzisz, jak jest pogruchotana. - Christie wskazała na zdjęcie. - Ludziom normalnie wstawiamy w to miejsce protezę, ale u psów zazwyczaj po jakimś czasie

wykształca się staw rzekomy. Podejrzewam, że Scrubbit już zawsze będzie trochę utykał, ale na pewno nie przestaniesz go przez to kochać, prawda?

- Oczywiście. - Dziewczyna pocałowała psa w pyszczek. - Myślałam, że tego nie przeżyje.

- Nie martw się. Będzie żył. Tym bardziej że pomoże nam wykwalifikowany anestezjolog. Mało który pies ma takie szczęście.

Wróciwszy do domu Flemmingów, Hugo poprosił Staną o podręczniki weterynarii. Nie mógł oczywiście odmówić Christie pomocy, zwłaszcza że piękna pani doktor nie omieszkła napomknąć, że gdyby nie spowodowany przez niego wypadek, samochody nie miałyby powodu pędzić do przystani z nadmierną szybkością i Scrubbit byłby teraz cały i zdrowy.

Stan nie okazał najmniejszego zdziwienia na wieść o planowanym zabiegu.

- Czego myśmy już tu nie operowali! - rzekł z wyraźną nostalgią. - Nawet fokę z uszkodzoną płetwą i żabę przyniesioną przez jakiegoś zropaczzonego malca. Żaba co prawda zdechła, bo chyba podałem jej za dużo środka usypiającego - westchnął - ale miejmy nadzieję, że ty, mój drogi, nie popełnisz błędu.

Starszy pan zdjął z półki książki, wyszukał odpowiednie rozdziały, po czym obaj spędzili nad nimi dwie godziny, studiując z zapamiętaniem anatomię zwierząt i techniki anestezjologii weterynaryjnej.

Uznawszy, że wie już dostatecznie dużo, by przystąpić do zabiegu, Hugo zaproponował gospodarzowi wycieczkę na przystań.

Nieoczekiwane towarzystwo przywróciło Stanowi chęć do życia. Szczególnie że młodszy kompan poruszał się równie wolno jak on sam.

- Nawet nie wyobrażasz sobie, jak przykra jest samotność, kiedy człowiek staje się niedołągą - oznajmił, kiedy oceniwszy uszkodzenia łodzi, wracali do samochodu.

W świetnych nastrojach ruszyli w powrotną drogę do domu. Hugo sam nie rozumiał, dlaczego mimo zwichniętego kolana, poważnych uszkodzeń łodzi i czekającej go dziś operacji na psie tak dopisuje mu humor.

Czyżby to perspektywa towarzystwa Christie w czasie lunchu tak wpływała na jego samopoczucie?

Christie pojawiła się w domu parę minut po pierwszej. Ona też była dziś w znakomitym nastroju. To pewnie dlatego, że się w końcu wyspałam, myślała. Bo przecież obecność Hugona Tallenta nie ma tu nic do rzeczy.

Zazwyczaj sama przygotowywała lunch, ale tym razem na półmisku w kuchni piętrzyła się sterta kanapek z awokado i wędzonym łososiem, a

dziadek i Hugo dumnie wypinali piersi i przyglądali się jej z minami spiskowców.

- A cóż to za okazja? - zapytała, starając się nie zastanawiać, ile musiał kosztować tak wykwintny posiłek. Zwykle zadowalali się żółtym serem.

Dziadek jakby czytał w jej myślach.

- To Hugo robił zakupy. Właścicielka sklepu aż podskakiwała z radości, kiedy zaczął ładować te wszystkie specjały do koszyka. Akurat miała łososia, awokado i kawior, bo Piercowie zamówili je w zeszłym tygodniu na przyjęcie, a potem okazało się, że przeliczyli się z kosztami. Martwiła się, że nigdy nie sprzeda tak luksusowego towaru, ale Hugo wziął całą dostawę.

- Kawioru? - Christie nie posiadała się ze zdumienia.

- Właśnie. Uparł się, że musimy mieć kawior na kolację dla uczczenia waszych weterynaryjnych wyczynów. Facet musi mieć kupę forsy - roześmiał się Stan.

- Albo jest więcej niż wdzięczny za to, że w ogóle może jeszcze jeść. Doktor Flemming, proszę się poczęstować.

Usiadła przy stole i sięgnęła po kanapkę. Ujmujące zachowanie gościa sprawiło, że nagle, po raz pierwszy od dawna, poczuła się młodą kobietą.

- Rozmawiałam dziś z Benem - oznajmiła po chwili, przelękając smakowity kąsek - i zdecydowałam się wypisać go ze szpitala.

- To świetnie - ucieszył się Hugo.

Wyraz jego oczu mówił, że szczerze troszczy się o dziecko, któremu zawdzięcza życie.

- Jego ojciec opowiedział mi o wszystkim, co pan uczynił dla chłopca. Wiesz, dziadku, że kiedy dziś weszłam do pokoju Bena, zastałam tam całą jego klasę? Potem Heler O'Shea wyjaśniła mi, że doktor Tallent zadzwonił wczoraj wieczorem do szkoły i powiedział, że Benowi bardzo dobrze zrobiłoby uznanie ze strony kolegów. I rzeczywiście, kiedy go zobaczyłam, nasz zwykle przygnębiony, wystraszony pacjent promieniał niczym prawdziwy bohater.

- Ale... - zaczął Hugo, lecz Christie ani myślała dopuścić go teraz do głosu.

- A do tego odwiedziła go Ellie, wiesz, ta dziennikarka Pisce teraz artykuł o Benie, bo pan Tallent opowiedział jej, jak chłopak uratował mu życie. Przy tym podkreślił zasługi obojga rodziców w wychowaniu tak wspańskiego syna, udając, że nic nie wie o śmierci jego mamy. Ellie powiedziała że wydrukują ten artykuł w gazecie w Brisbane. A jeśli chodzi o samego Bena, to doktor Tallent przekonał go nie tylko o tym, że jest

bohaterem, ale też, że tam, na morzu, ktoś musiał nad nim czuwać, i że to na pewno była jego mama.

I posłuchaj. Ben zapytał mnie, czy sędzę, że mama byłaby teraz z niego dumna. Oczywiście odpowiedziałam, że tak, ale kiedy zaraz potem chciał wiedzieć, czy to możliwe, że Sus wciąż o nim pamięta, ogarnęło mnie takie wzruszenie, że musiałam pobiec do łazienki, żeby się wypłakać.

- Chyba przecenia pani moje zasługi. - Hugo był wyraźnie zażenowany.

- Nieprawda - rzekła Christie z błyszczącymi ze szczęścia oczami. - Nie wyobraża pan sobie, ile starań dołożyliśmy oboje z dziadkiem, żeby Ben przestał obwiniać się za śmierć matki. Tymczasem jedna rozmowa z panem wystarczyła, żeby przywrócić mu radość życia. Mam ochotę dać panu za to buziaka.

- Proszę się nie krępować. - Hugo odłożył kanapkę i uśmiechnął się tak zachęcająco, że Christie wręcz zakreśliło się w głowie.

- Lepiej dam całusa dziadkowi - powiedziała i cmoknęła starszego pana w policzek, po czym nagle, bez zastanowienia, pochyliła się w kierunku Hugona i delikatnie pocałowała go w usta.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po południu Christie przyjęła dziesięcioro kolejnych pacjentów. Większość z nich przyszła dziś do przychodni wiedzona ciekawością i prawie każdy najpierw pytał o zdrowie Bena, a potem chciał dowiedzieć się czegoś na temat nowego lekarza, o którym zaczynało być na wyspie głośno.

Wreszcie, przepisawszy panu Greggowi kolejną porcję leków na dokuczające mu od lat hemoroidy, mogła pomyśleć o czekającym na operację psiaku.

I o doktorze Tallencie.

Czuła się dziś naprawdę dziwnie: Ilekroć w ciągu dnia wracała pamięcią do jego osoby, ogarniało ją podniecenie godne nastolatki umówionej na pierwszą w życiu randkę. Za każdym razem bezskutecznie tłumaczyła sobie, że za kilka dni Hugo wróci do Brisbane i znowu zostanie sama na wyspie, by nieść pomoc tubylcom. Ze nigdy więcej się nie spotkają.

Uporawszy się z resztkami zaległej papierkowej roboty, udała się do niewielkiej przybudówki na zapleczu szpitala, gdzie urządziła salę zabiegową dla zwierząt. Mimo całej sympatii, jaką darzyła czworonożnych pacjentów, wiedziała przecież, że wprowadzanie ich na blok operacyjny przeznaczony dla ludzi urągałoby wszelkim zasadom higieny.

Hugo zastał ją w trakcie przygotowań do zabiegu.

- Nie lepiej byłoby wstawić mu protezę? - zapytał. Nie bardzo rozumiał dlaczego, zadawszy sobie tyle trudu,

Christie chce poprzestać na amputacji części kości.

- Być może - odrzekła, układając na tacy potrzebne narzędzia - tylko nie wiem, czy się pan orientuje, ile taka proteza może kosztować.

- No, nie.

- Właśnie, bo w przypadku ludzi koszt endoprotez refundowany jest przez państwo. To samo państwo nie chce, niestety, dokładać się do ratowania zwierząt. Zgodziłam się sama pokryć koszty leczenia i wykonać zabieg za darmo, ale naprawdę nie stać mnie na tak duży wydatek.

- Rozumiem - rzekł bez większego przekonania.

- Poza tym sztuczny staw trzeba by wykonać na specjalne zamówienie i dokładnie dostosować wymiary do rozmiarów psa, co zajęłoby mnóstwo czasu. Nie podejrzewa pan chyba, że mamy tu na wyspie specjalistę od protetyki weterynaryjnej?

- No, nie... A tak przy okazji, proszę powiedzieć, jakim cudem udało się pani zdobyć tak rozległą wiedzę na temat leczenia zwierząt?

- Dużo czytam. Życie na wyspie pozbawione jest szczególnych atrakcji, więc wypełniam wieczory lekturą. - Ugryzła się w język. Jeszcze chwila, a Hugo pomyśli, że zaczyna użalać się nad własnym losem.

Na szczęście z korytarza dobiegł odgłos zbliżających się szybkich kroków i po chwili w drzwiach gabinetu ukazała się zdyszana Mandy.

- No to jesteście w komplecie. - Christie odetchnęła z ulgą, bo badawcze spojrzenie, jakim raz po raz mierzył ją anestezjolog, coraz bardziej wytrącało ją z równowagi. - Możemy zaczynać.

Dla doktora Tallenta operacja stawu Scrubbita stanowiła od początku do końca niesamowite doświadczenie. Zaintubował zwierzątko i podał mu środek znieczulający, w napięciu śledził ekran monitora, jakby miał do czynienia z niezwykle ważnym pacjentem.

Christie pracowała w skupieniu. Zielony czepek ciasno nasunięty na czoło i maska chirurgiczna prawie całkowicie zakrywały jej twarz, więc Hugo widział teraz tylko dwoje wielkich, zielonych oczu utkwionych w polu operacji.

Delikatne, zręczne palce Christie poruszały się z taką precyzją, jakby wykonywanie skomplikowanych zabiegów należało do jej codziennych obowiązków. Gdzie, na Boga, zastanawiał się Hugo, zdażyła się tego nauczyć? Rzuciło się w oczy, że Christie jest urodzonym chirurgiem. Gdyby tylko zechciała, mogłaby pracować w najlepszej klinice w mieście i zarabiać krocie. Tymczasem wybrała pracę na odludziu, gdzie razem z dziadkiem, jak zdażył się już zorientować, ledwie wiążą koniec z końcem.

Oczyściwszy ranę z kostnych odłamków, Christie przeszła do amputacji będącej nie do uratowania główki kości udowej.

- Przez jakiś czas Scrubbit będzie jeszcze chodził na trzech łapach, ale niedługo końcówka kości powinna obrosnąć chrząstką, z której utworzy się tak zwany staw rzekomy - wyjaśniła przypatrującej się operacji dziewczynie.

Opanowanie, z jakim Mandy śledziła postępy operacji, wywarło na Hugonie ogromne wrażenie. Nie drgnęła nawet, gdy Christie przystąpiła do piłowania kości, tylko przypatrywała się uważnie niczym pochłonięta tematem lekcji uczennica.

- Doktor Flemming mówiła, że chcesz zostać weterynarzem.

- Tak, ale pewnie nie mam najmniejszej szansy - odrzekła dziewczyna, nie odrywając wzroku od dłoni lekarki.

- Dlaczego? - zapytał, choć właściwie powinien był domyślić się odpowiedzi.

Żeby dostać się na weterynarię, trzeba należeć do grupy najlepszych absolwentów szkół średnich w całym kraju. Wielu całkiem zdolnych kandydatów musi co roku pożegnać się z marzeniami ze względu na nieco słabsze wyniki w nauce.

Ale w przypadku Mandy nie tu leżał problem.

- Nie mam pieniędzy - odrzekła z goryczą. - Pewnie skończę jako żona rybaka i matka sześciorga dzieci albo pójdę czyścić ryby w fabryce konserw.

Hugo skierował pytające spojrzenie na Christie, która akurat uporała się z zakładaniem ostatnich szwów i wreszcie mogła odetchnąć z ulgą.

Ani anestezjolog, ani Mandy nie domyślali się nawet, ile nerwów kosztowała ją dzisiejsza operacja. Nigdy w życiu nie wykonywała podobnego zabiegu. Co prawda spędziła całą godzinę w Internecie, konsultując się ze znajomym weterynarzem, ale i tak, przystępując do zabiegu, umierała wręcz ze strachu. Tylko dzięki wrodzonej dumie zdołała ukryć przed Hugonem swój niepokój.

- Mandy jest bardzo zdolna i pewnie bez problemu dostałaby się na studia - zapewniła. - Dyrektorka szkoły twierdzi, że ma szansę na jeden z najlepszych wyników w kraju.

- I co z tego? - westchnęła dziewczyna, delikatnie gładząc kudłatą sierść czworonogiego przyjaciela. - Cały czas łudzę się nadzieją, że wydarzy się cud, ale tak naprawdę nawet nie mam po co przystępować do egzaminów.

- Kiedy się zaczynają? - zapytał Hugo.

- Za dwa tygodnie. Tylko...

- Tylko co?

- Przecież to bez sensu. Panna O'Shea namawia mnie, żebym nie rezygnowała, ale nawet jeśli zdobędę stypendium, i tak nie będzie mnie stać na mieszkanie w Brisbane. - Przymknęła powieki. - Dużo myślałam na ten temat i doszłam do wniosku, że muszę poczekać. Pójdę na dwa albo trzy lata do pracy w spółdzielni i będę odkładać wszystkie zarobione pieniądze. Może wtedy...

Hugo przyjrzał się dziewczynie uważnie, po czym przeniósł spojrzenie na Christie. Najwyraźniej oboje myśleli o tym samym. Po trzech latach ogłupiającej pracy mało która nastolatka jeszcze ma ochotę ponownie podjąć naukę.

- Mandy...

- Słucham? - Nawet nie odwróciła głowy w jego kierunku, jakby chciała powiedzieć, że ma problem, z którym musi uporać się sama.

Hugo musiał przyznać w duchu, że dziewczyna ma charakter. Podobnie jak Christie. Całkiem jakby zostały stworzone z tej samej gliny. Obie potrafią odważnie stawić czoło przeciwnościom losu.

- Posłuchaj. Jeśli zdasz egzaminy na tyle dobrze, żeby się dostać na studia, pokryję ci koszty utrzymania, podróży i książek. Zgoda? - zaproponował. W gabinecie zapadła cisza.

- Trzeba już odłączyć narkozę - odezwała się Christie po dłuższej chwili. Ze wszystkich sił starała się zachować spokój.

Mandy nadal nie była w stanie wykrztusić słowa.

- Oczywiście. - Hugo mrugnął porozumiewawczo do dziewczyny. - Doktor Flemming pewnie myśli, że żartuję, ale możesz mi wierzyć, że nie należę do ludzi, którzy rzucają słowa na wiatr.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś? - Christie była tak wściekła, że nawet nie zauważyła, że zaczęła zwracać się do Hugona per ty.

Ledwie odłączył psa od respiratora i upewnił się, że oddycha normalnie, wyciągnęła go na korytarz. Tam ściągnęła maskę z twarzy i spojrzała na niego pałającymi gniewem oczami.

- Jak mogłeś?

Wyglądała zachwycająco. Uznał, że już sam widok jej pełnej złości twarzy wart był złożenia jakże kosztownej obietnicy.

- Nie rozumiem.

- Studia weterynaryjne - wyjaśniła, cedząc słowa przez zęby - trwają pięć lat, a pięć lat w Brisbane kosztuje fortunę. Nawet jeśli Mandy zdobędzie stypendium, a takiego warunku przecież jej nie postawiłeś, będzie musiała płacić za mieszkanie, podręczniki, przejazdy i tak dalej. Wydaje ci się, że rodzice nie chcą jej posłać na studia ze złej woli? Otóż nie. Po prostu ich na to nie stać.

- W przeciwieństwie do mnie.

- Tak ci się teraz wydaje. A po pół roku pewnie zmienisz zdanie i dziewczyna zostanie na lodzie. Przecież nie mówimy o wyjeździe na wakacje, tylko o całym jej życiu. Mandy naprawdę zależy na weterynarii.

- Wiem i właśnie dlatego zaproponowałem jej swoją pomoc.

- Tyle, że jeśli się wycofasz, zrujnujesz jej życie. Więc nie obiecuj niczego i oszczędź jej rozczarowań.

- Wcale nie zamierzam się wycofywać - powiedział z takim naciskiem, że teraz Christie zmierzyła go badawczym spojrzeniem.

- Żartujesz?

- Skąd.

- Niewierze.

- Przecież nie stroiłbym sobie żartów w tak ważnej sprawie.
- Czy ty w ogóle orientujesz się, ile to będzie cię kosztowało?
- Przecież też kończyłem studia. Co prawda nie musiałem płacić za mieszkanie, bo dom rodziców jest blisko uniwersytetu, ale nie byliśmy specjalnie zamożni, a mój brat stale pozwalał sobie na kosztowne wybryki. Przez całe studia pracowałem dorywczo, a prawdę mówiąc, obaj z tatą harowaliśmy jak głupi. Możesz mi wierzyć, że świetnie wiem, ile mi przyjdzie zapłacić. ?
- Ale...
- Ale co?
- Nie rozumiem. - Ściągnęła z głowy czepek i burza kręconych włosów opadła jej na ramiona. - Nie rozumiem, dlaczego to robisz.
- Bo tak mi się podoba.
- Bo jesteś nam wdzięczny za to, że żyjesz, tak? - Pokręciła głową. - Tyle że wdzięczność nie trwa wiecznie. Zawsze radzę pacjentom, żeby przynajmniej przez rok od poważnej operacji powstrzymywali się od życiowych decyzji. Wrócisz do Brisbane, szybko zapomnisz o wypadku, a wydatki na kształcenie Mandy przez dłuższy czas pozbawią cię znacznej części dochodów.
- Nie martw się. Nie zbiednieję.
- Posłuchaj. Wiem, że jesteś dobrym specjalistą, ale skoro nie odziedziczyłeś żadnego majątku, nie mogłeś w parę lat dorobić się fortuny. Może będziesz chciał się ożenić albo kupić dom?
- Christie, przestań! - Uśmiechnął się przewrotnie. - Jeszcze chwila, a naprawdę zdołasz mnie namówić, żebym zmienił zdanie.
- Wolę, żebyś zrobił to teraz niż za pół roku. Bo Mandy oddałaby wszystko, żeby skończyć studia, i wołałabym oszczędzić jej rozczarowań.
- Podobnie jak ty, kiedy wybierałaś się na medycynę, prawda? Zresztą to samo mógłbym powiedzieć o sobie. Dlatego proszę, żebyś się nie sprzeciwiała. Tylko czy rodzice zgodzą się na jej wyjazd?
- Na koszt Fundacji Hugona Tallenta? Na pewno tak. Sądzę, że wręcz się ucieszą, że będą ją mieć z głowy. - Christie zacisnęła usta. - Może nie powinnam ci tego mówić - dodała po chwili - ale jej matka jest naprawdę okropna.
- Zdażyłem się zorientować.
- Hugo - jeszcze raz spróbowała protestować - zastanów się. Jeszcze się możesz wycofać.
- Może poczujesz się lepiej, jeśli się dowiesz, że z mojej strony nie będzie to wielkie poświęcenie. Naprawdę. Finansuję teraz kilka podobnych

przedsięwzięć. Poza tym mam już dom, i to za duży jak na moje potrzeby. Możesz mi wierzyć, że studia Mandy nie nadweryżą moich finansów.

- Wygrałeś na loterii?

- Może... - zaśmiał się filuternie. - Przepraszam, doktor Flemming, ale to nie pani sprawa, skąd biorę pieniądze.

Ciekawe, zastanowił się, czy gdyby poznała źródło jego dochodów, zareagowałaby tak jak wszystkie dziewczyny, z którymi miał dotąd do czynienia. Raczej nie. Powoli dochodził do przekonania, że Christie należy do zupełnie innej kategorii kobiet.

- Ale naprawdę zarabiam więcej, niż jestem w stanie wydać.

- Gdybyś wiedział, jak było mi przykro, że sama nie mogę jej pomóc.

- No właśnie - zamyślił się. - Jak to możliwe, że ledwie więzecie koniec z końcem? Szpital nie przynosi żadnych dochodów?

- No wiesz! Dopiero co zabroniłeś mi pytać, skąd masz pieniądze, a teraz chcesz wiedzieć, ile zarabiam?

- Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz.

- To żadna tajemnica - rozchmurzyła się Christie. - Wyspa ma pięciuset mieszkańców. Na lądzie zakładacie, że dopiero trzy tysiące potencjalnych pacjentów może zapewnić szpitalowi zyski, pod warunkiem, że część z nich ma wykupione prywatne ubezpieczenie. Tymczasem my mamy dwóch zamożnych emerytów, a wszyscy inni korzystają z ubezpieczeń społecznych.

- Ale przecież i tak masz mnóstwo pracy.

- Nie dałabym sobie rady, gdyby miało mi przybyć pacjentów. Rybacy Zawsze stanowili grupę wysokiego ryzyka. Poza tym mamy tu zdecydowanie więcej osób w starszym wieku, a do tego dochodzą problemy zdrowotne plemienia Koori, dla którego zdobycze współczesnej medycyny to kompletna nowość. Na razie ich średnia wieku nie przekracza nawet pięćdziesięciu lat. A poświęcam naprawdę dużo czasu, żeby ich czegoś nauczyć.

- I pewnie dostajesz w zamian worek fistaszków, tak?

- Jeśli o mnie chodzi, mogę jeść i fistaszki.

- Ale nie dzisiaj. Bo dziś będziemy jeść kawior.

- Jak sobie życzysz.

Ten facet jest z kompletnie innej bajki, pomyślała. Jednak intuicja podpowiadała jej, że może mu zaufać, a sama myśl o tym, że Mandy pójdzie na wymarzone studia, sprawiła, że miała ochotę skakać z radości.

- Tylko najpierw wróc porozmawiać z przyszłą panią weterynarz, bo gotowa pomyśleć, że się przesłyszała - dodała jeszcze, po czym, zanim

Hugo zdążył uczynić krok w kierunku drzwi, zarzuciła mu ręce naszyję i wycisnęła na jego ustach gorący pocałunek.

Radosny, pełen życia i miłości i tak krótki, że nawet nie zdążył zareagować.

- A teraz zajrzę jeszcze do pacjentów w szpitalu, a ty uspokój Mandy i zajmijcie się psem. Za godzinę będę w domu. A kiedy już zjemy kawior, przygotuję wam po filiżance gorącej czekolady na deser. Albo wymyślę coś jeszcze lepszego. Dziś wieczór możemy sobie pozwolić na odrobinę szaleństwa, prawda, doktorze Tallent?

- Skoro tak mówisz... - Wyciągnął dłoń i delikatnie pogładził jej twarz. Była tak piękna! - Christie...

- Słucham?

- Nie, nic. - Nie mógł znaleźć słów, by wyrazić swój zachwyt.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Christie odbyła wieczorny obchód w rekordowym wręcz tempie, mimo że wszyscy ją zaczepiali, by zapytać o Hugona Tallenta.

- Jest fantastyczny, prawda? - powiedziała Liz Myers, kiedy lekarka zjrzała jej pokoju. - Nie rozumiem, jak możesz siedzieć o tej porze w szpitalu? Na twoim miejscu nie odstępowałabym tego faceta na krok.

- A mogę wiedzieć dlaczego? - zapytała Christie.

- Oczywiście, nie próbuję niczego sugerować - Liz oderwała wzrok od śpiącego w jej ramionach maleństwa i figlarnie uśmiechnęła się do przyjaciółki - ale czyż nie byłoby wspaniale, gdyby doktor Tallent zapisał do ciebie uczuciem? Może nawet sprowadziłby się do nas na wyspę, dzięki czemu miałabyś mniej pracy.

- No wiesz! - Christie nawet nie próbowała ukryć wzburzenia.

- No dobrze, tylko się nie złość. I przynajmniej postaraj się nie przepuścić takiej okazji.

Przecież to nonsens, myślała Christie w drodze do domu. Hugo Tallent jest znakomitym anestezjologiem i ma świetną posadę w największym szpitalu w mieście. Musiałby być niespełna rozumu, żeby się przenieść na Briman.

Mimo to miała pewne plany na dzisiejszy wieczór. Nie całkiem zamierzała się dostosować do rad przyjaciółki, lecz odkryła w sobie ochotę, by się nieco rozerwać. Zdziwiła się, że Hugo jeszcze nie wrócił do domu.

- Nie wiesz, dokąd mógł pójść? Już wiem, pewnie go gdzieś ukryłeś. - Uśmiechnęła się dziadka, który właśnie szykował się do wyjścia na partyjkę szachów, którą co poniedziałek rozgrywał z przyjacielem w miejscowym pubie.

- Nie, ale to wcale niezły pomysł. Może rzeczywiście powinienem zakuć go w kajdany i zatrzymać na wyspie. Dobrze by było, gdyby ktoś taki jak Hugo zechciał się u nas zatrudnić, prawda?

- Nie sądzę. - Zaśmiała się nie do końca szczerze. - Przecież dochody szpitala ledwie wystarczają na utrzymanie jednego lekarza, a Hugo przyzwyczajony jest do luksusów. Wydaje mi się, że ma masę forsy.

Pokrótce powiedziała dziadkowi o obietnicy, jaką Hugo złożył Mandy King.

- A niech mnie! - Starszy pan nie posiadał się ze zdumienia. - Wiedziałem, że specjaliści w mieście nieźle zarabiają, ale żeby aż tyle...

- Nie sędzę, żeby czerpał dochody jedynie z pracy w szpitalu. Może otworzył jedną z tych luksusowych klinik dla bogaczy, które podobno potrafią, przynosić krocie?

Nie wiedząc czemu, pomyślała, że byłoby jej trochę przykro, gdyby okazało się prawdą, że ktoś taki jak Hugo Tallent żeruje na naiwności majątnych hipochondryków, którzy, jak słyszała, stanowili gros klienteli lśniącego szkłem i aluminium prywatnych przychodni.

Ale właściwie co ją obchodzi, skąd Hugo bierze pieniądze. W końcu to jego sprawa. Przecież i tak w piątek na zawsze opuści wyspę.

Tylko gdzie się teraz podziewa?

Odprowadziwszy dziadka do samochodu przyjaciela, który właśnie podjechał pod dom, Christie wróciła do szpitala. Może doktor Tallent wdał się w dłuższą rozmowę z którymś z pacjentów?

Nie spotkała go jednak na żadnym z oddziałów. Gabinet weterynaryjny też świecił pustką. Tylko Scrubbit, który wciąż znajdował się pod działaniem silnych środków uspokajających, spał smacznie na swoim pośłaniu.

Może Hugo poszedł porozmawiać z rodzicami Mandy? Niemożliwe. Ze zwichniętym kolanem nie szedłby trzech kilometrów na piechotę, a samochód dziadka został w domu.

- Nie widziałeś go, Scrubbit? - Christie pogłaskała psa po kudłatym łbie i uśmiechnęła się czule. - Założę się, że pojedziesz z Mandy do Brisbane. Nawet gdyby musiała cię ukryć w walizce.

Jeszcze raz rozejrzała się po gabinecie. Jej uwagę zwrócił plik notatek leżący na biurku, bo nie przypominała sobie, by ostatnio coś tutaj pisała.

Podniosła kartkę, zaczęła czytać i aż przysiadła z wrażenia. Miała przed sobą dokładny opis wykonanej dzisiaj operacji. Krok po kroku. Nawet zachowanie Mandy przedstawione zostało w najdrobniejszych szczegółach.

Niesamowite!

Aż drgnęła, kiedy Hugo otworzył drzwi do gabinetu. Przez chwilę czuła się, jakby przyłapał ją na gorącym uczynku, ale przypomniawszy sobie, że to on jest tu gościem, szybko odzyskała równowagę.

- Nasłali cię tutaj, żebyś mnie szpiegował? - zapytała, wskazując na zapisane kartki.

- No nie! - Zasłonił twarz dramatycznym gestem. - Rozszyfrowałaś moje zamiary. Jestem agentem Interpolu i próbuję się dowiedzieć, w jaki sposób psy z waszej wyspy stopniowo przejmują panowanie nad światem. Dziś udało mi się poznać wasz mroczny sekret. Wszczepiając Scrubbitowi kość z kryptonitu, stworzyłaś superpsa.

Wariat, pomyślała Christie, po czym oboje wybuchnęli wesołym śmiechem.

- Ale po co ci te notatki? - zapytała po chwili.
- Żeby niczego nie zapomniał. Na wypadek, gdyby...
- Gdyby trafił ci się w Brisbane jakiś bezdomny pies z pękniętą miednicą?
- Powiedzmy.
- Na pewno nie jesteś inspektorem nadzoru?
- A cóż, do diabła, miałbym tu nadzorować?
- Gdybyś na przykład doniósł, że prześwietlam w szpitalu zwierzęta, mogłabym mieć kłopoty. Albo że wypisałam Bertowi Sorenowi podwójną dawkę antybiotyku.

- Miałbym przymknąć oczy na takie przestępstwo? Tego już doprawdy za wiele! Chyba zdaje pani sobie sprawę, doktor Flemming, z poważnych skutków przedawkowania leków. Jak rozumiem, uległa pani namowom pacjenta.

- W pewnym sensie, - Christie ze wszystkich sił starała się zachować powagę. - Bert przyszedł do mnie z wrośniętym w duży palec stopy paznokciem, wokół którego zdążyła wywiązać się infekcja. Zapisałam mu antybiotyk, ale zanim zdążył go zażyć, jego krowa zahaczyła zadem o drut. Bert podał jej własne lekarstwo, a sam zgłosił się po kolejną dawkę. Więc jak, złoży pan na mnie doniesienie?

- Zastanowię się - oświadczył, po czym ujął w ręce jej dłonie. - Żarty żartami, ale naprawdę nie masz się czego obawiać - zapewnił, patrząc jej prosto w oczy. - Nie przyjechałem tu na żadne przeszpiegi, więc i ty, i Scrubbit, a nawet krowa Berta Sorena, wszyscy możecie spać spokojnie. Po prostu lubię prowadzić notatki. No a teraz może wreszcie pójdziemy otworzyć ten kawior.

Dotyk jego ciepłych, silnych dłoni sprawił, że Christie poczuła się jak w siódmym niebie. Miała wrażenie, że całe jej ciało, od stóp po czubek głowy, przechodzą rozkoszne dreszcze. Ale chociaż wiele by dała, by ta chwila mogła trwać wiecznie, musiała wyjaśnić w końcu, dlaczego go szukała.

- Posłuchaj, mam pewien pomysł. Z ociąganiem opuścił ręce.
- Tak?
- Nie najemy się samym kawiozem. - Jakimś cudem zdołała zapanować nad drzeniem głosu. - Pomyślałam więc, że możemy popłynąć na połów krewetek.
- Słucham? - Pomyślał, że się przesłyszał.
- W taką bezkسیężycową noc jak dzisiaj powinno być ich całe mnóstwo.

Skoro Hugo ma w piątek wyjechać, powinien poznać przynajmniej część uroków mieszkania na wyspie. Poza tym perspektywa spędzenia kilku godzin w towarzystwie uroczego kompana wydała się Christie bardzo kusząca.

- Zapadła ciemna bezksiężycowa noc... - zaczął recytować tajemniczym głosem. - W pokoju na piętrze krzyknęła pokojówka. Lokaj krążył po domu bez celu, z oddali dobiegało przeciągłe wycie psów, a z sufitu sączyła się powoli krew. Tymczasem w szpitalu... Naprawdę chce pani łąwić ze mną krewetki, doktor Flemming?

Czy on nigdy nie przestaje się wygłupiać, zastanowiła się Christie. Oczywiście, że chce. Sama przecież wysunęła tę propozycję.

- Tymczasem, jeśli się nie pospieszymy, wszystkie krewetki nam puciekają, a mam dziś straszną ochotę na krewetkową ucztę. Poza tym owoce morza świetnie komponują się z kawiozem, prawda?

- Rzeczywiście - zgodził się, ale bez szczególnego entuzjazmu. - Nie boisz się pogody?

Na dworze wciąż szalała wichura, a łoskot wzburzonych fal uderzających o brzeg słychać było nawet w szpitalu.

- Przy ujściu rzeki morze jest zawsze spokojne, bo skały tworzą tam naturalny wiatrochron.

- Ale dlaczego właśnie dzisiaj? - zapytał.

Właśnie, dlaczego? Christie uznała, że właściwie nie ma powodu, żeby ukrywać przed nim prawdę. W końcu Hugo za parę dni wyjedzie i nigdy więcej się nie spotkają.

- Jako dziecko bardzo lubiłam łąwić krewetki. Ale od czasu, kiedy wróciłam tu jako lekarz, nikt nie proponuje mi wspólnych połowów. Mamy z dziadkiem cały potrzebny sprzęt, bo czasem urządzaliśmy sobie takie polowanie tylko we dwoje.

- Dopóki nie zachorował.

- Właśnie. A teraz, gdy tylko komuś powiem, że chcę się wybrać na krewetki, następnego dnia znajduję pod drzwiami pełne wiadro, bylebym tylko nie poszła łąwić. Chyba sądzą, że byłoby to nie na miejscu.

- Jak to?

- Mają swoje racje. Uważają, że zamiast ryzykować, brodząc po nocy w wodzie, powinnam siedzieć w domu, żeby być pod ręką, gdyby komuś przytrafiło się coś złego. W dodatku, gdybym złowiła mniej niż oni, czuliby się zobowiązani podzielić ze mną własną zdobyczą.

- Obiecuję, że ze mną nie przegrasz. Brak mi doświadczenia, a z tym kolaniem i tak nie mam najmniejszych szans.

Roześmiała się.

- Wiesz, że nawet o tym nie pomyślałam? Jeśli chodzi o kolano, to weźmiemy łódkę z szopy, żebyś nie musiał chodzić. Dopłyniemy brzegiem do ujścia rzeki i zacumujemy w jakimś dogodnym miejscu, gdzie będziesz mógł łowić, nie wchodząc do wody. Kto wie? Jeśli się naprawdę postarasz, może nawet uda ci się mnie pokonać.

- A jeśli zadzwoni któryś z pacjentów i nie zastanie cię w domu?

- Wezmę telefon komórkowy.

- W takim razie nie ma na co czekać.

Hugona nie trzeba było długo namawiać. Nigdy nie rezygnował z przygody, szczególnie w towarzystwie pięknej kobiety.

- Prowadź, wodzu.

Spędzili wspólnie trzy fantastyczne godziny.

Rzeczywiście, ujście rzeki było całkowicie osłonięte od wiatru. Cieniutki rogalik księżycy, zawieszony nisko nad horyzontem, nieco rozświetlał ciemności, lecz nie na tyle, żeby zdezorientować krewetki, które ciągnęły w kierunku światła umieszczonej przez Christie pod wodą specjalnej latarki.

Siedząc wygodnie w łódce, Hugo wyciągał krewetki podbierakiem, podczas gdy Christie czyniła to samo, brodząc po pas w wodzie.

Nie mógł nasycić się jej widokiem. Miała na sobie wypłowiałe szorty, krótki sztorniak, a na nogi włożyła stare skórzane sandały. Wpatrywała się w lustro wody z takim zapamiętaniem, jakby wynik połowu miał zadecydować o tym, czy nie umrą z głodu.

- Bierz się do roboty, Hugo - ponaglała. - Każde z nas dostanie na kolację to, co sam złapie, więc zostaniesz z pustym talerzem, jeśli będziesz się tak objął.

- Słucham? - Żadna ze znanych mu dotąd kobiet nie ośmieliłaby się odezwać do niego w ten sposób.

Odkąd stał się sławny, dziewczyny, z którymi się spotykał, traktowały go jak bożyszcze, z przynależnym idolom uwielbieniem. Więc dlaczego zaczyna tracić głowę dla tej małej, zanurzonej po pas w wodzie, zuchwałej kobietki?

- Mówiłam, żebyś wziął się do pracy, bo nie dostaniesz kolacji - powtórzyła wesoło.

- Nie jest ci zimno? - zawołał.

Czy istnieje na świecie druga taka dziewczyna, która bez wahania wskoczyłaby do wody w stroju sierotki Marysi i cieszyła się jak dziecko z każdej złowionej krewetki?

- Nie. Ale tobie pewnie doskwiera upał. Nie chcesz się przypadkiem ochłodzić? .

- Dzięki, ale innym razem.

Nagle zaczęło dziać się coś dziwnego.

Christie wrzasnęła tak głośno, że pewnie usłyszeli ją wszyscy mieszkańcy wyspy, a otaczające ją gładkie lustro wody spieniło się gwałtownie.

- Co się dzieje?

- Zabierz to! - zawołała jak szalona, rozbryzgując zmaconą wodę. - O Boże, nie!

Niewiele myśląc, Hugo wyskoczył z łodzi i pochwycił ją w ramiona. Uniósłszy ją bez żadnego wysiłku ponad fale, zorientował się, co spowodowało tak gwałtowny wybuch paniki. Christie wciąż wierzgała nogami jak oszalała, usiłując pozbyć się owiniętej macką wokół kostki niewielkiej ośmiornicy.

- Hugo, błagam, zabierz to świnstwo! - krzyczała na całe gardło.

W końcu kopnęła na tyle silnie, że zwierzę poszybowało wysoko w powietrze i spadło do wody parę metrów dalej.

Ośmiorniczka musiała być równie przerażona jak jej niedoszła ofiara, bo w świetle latarki zobaczyli, jak odplywa błyskawicznie w stronę otwartego morza.

- Bogu dzięki - odetchnęła Christie. - Obrzydliwość.

- Są jadowite? - Hugo na gwałt próbował sobie przypomnieć wykłady z toksykologii. - Nie ruszaj się, tylko pokaż mi nogę.

Z niewielkiej ranki nad kostką sączyła się krew.

- To nic takiego. - Zdążyła się już opanować, a na widok zatrwożonej twarzy towarzysza wybuchnęła śmiechem. - Sama się skaleczyłam, kiedy usiłowałam ją kopnąć. Zamiast w to paskudztwo, trafiłam we własną nogę. Mogę się założyć, że nic się jej nie stało. Szkoda, że wpadłam w panikę, zamiast po prostu ją złapać. Mielibyśmy nie tylko kawior i krewetki, ale nawet kałamarnicę na kolację. Młode są naprawdę smaczne.

Hugo zaniemówił.

Każda inna kobieta, znalazłszy się w jego ramionach, zarzuciłaby mu ręce na szyję i zachęcająco rozchyliła usta. Ale nie Christie. Ona śmiała się i paplała radośnie i nic w jej zachowaniu nie wskazywało, by miała jakąkolwiek ochotę na seks. Może gdyby wiedziała, kim jest...

- Zgubiłam podbierak - jęknęła po chwili. - A miałam sześć naprawdę wielkich krewetek. - O, popatrz, jest tam. Puść mnie!

Zanim zdążył się zorientować, wskoczyła do wody i popłynęła w kierunku unoszącej się na falach siatki. Zupełnie jakby fakt, że trzymał ją na rękach i przytulał do piersi, znaczył dla niej tyle co nic.

Całkowicie oniemiały przyglądał się, jak dziewczyna wyławia zgubę, podnosi się na nogi i triumfalnie pokazuje mu sieć.

- Trzy jeszcze zostały. Sam zobacz, jakie wielkie!

- To świetnie - odrzekł nienaturalnie słabym głosem. Z trudem oderwał od Christie pełne zachwyty spojrzenie i zajrzał do wiadra. - Nie chcesz już skończyć? I tak nie damy rady ich wszystkich zjeść.

- Ojej, pewnie boli cię noga - zaniepokoiła się. Podpłynąwszy w jego kierunku, zanurkowała i w świetle latarki obejrzała kolano towarzysza.

- Muszę cię zmartwić - oznajmiła grobowym tonem, wypłynąwszy na powierzchnię. - Masz kompletnie przemoczony opatrunek.

- Nic dziwnego, skoro stoję po pas w wodzie - odparł, tym razem bez uśmiechu. Cała ta sytuacja była tak nierealna, że miał wrażenie, że śni.

- Nie szkodzi. Pomyślałam o tym, żeby zabrać suche rzeczy na zmianę. Całkiem sprytnie, prawda?

- Owszem. - Coraz wyraźniej czuł się jak aktor grający w filmie, na którego treść nie ma właściwie żadnego wpływu.

- Bo wiesz, jeszcze w domu wpadłam na pomysł, że równie dobrze możemy zjeść kolację na plaży. Nawet zabrałam kawior.

Przełożyła krewetki z podbieraka do wiadra i z niepokojem przyjrzała się chybotliwej łódce. Jak, na Boga, Hugo zdoła się do niej teraz wdrapać?

- Dasz radę sam się podciągnąć, czy mam cię podsadzić? - zapytała.

Tego już było za wiele. Ma dać się podsadzić kobiecie!

- Poradzę sobie. Naprawdę nic mi nie jest.

- Nie oszukuj! - Tym razem mówiła całkiem poważnie.

- Broniąc mnie przed ośmiornicą ludojadem, nie mogłeś nie nadwerężyć kolana. Przepraszam, źle zrobiłam, proponując ci tę eskapadę.

- Ależ skąd - odparł z najgłębszym przekonaniem. - Nigdy bym sobie nie darował, gdybym przepuścił taką niezwykłą okazję.

Pośród szalejącej wokół wichury piaszczysta, osłonięta skałami plaża stanowiła oazę spokoju. Tylko gdzieś z daleka dobiegał odgłos fal uderzających z łoskotem o brzeg.

Dopłynąwszy na miejsce, wyciągnęli łódkę na piasek. Christie podała Hugonowi szczelnie zawiązaną plastikową torbę.

- Możemy się teraz przebrać - oznajmiła. - Zgaś dla przyzwoitości latarkę i odwróć się plecami.

Dusząc się ze śmiechu, Hugo grzecznie wykonał polecenie. W ogóle ogarniało go coraz silniejsze rozbawienie, jeśli jest to odpowiednie słowo na określenie stanu ducha mężczyzny, który sam nie wie, co się właściwie z nim dzieje. W myślach dziękował Stanowi za łaskę, gdyż bez' niej zapewne już kilka razy przyszłoby mu się dzisiaj przewrócić, i to bardziej z wrażenia niż z powodu zwichniętej nogi.

Kiedy Christie włączyła latarkę, zauważył, że ma na sobie ten sam karminowy sweter i opięte dzinsy, w których ujrzał ją po raz pierwszy. Zajęta rozpalaniem ogniska, pozostała nieświadoma zachwyty, z jakim się jej przypatrywał. Tymczasem on nie spuszczał z niej oczu, nie mogąc się nadziwić harmonii jej ruchów i doskonałości sylwetki.

- Ugotujemy krewetki w morskiej wodzie - oświadczyła, wieszając kociołek nad ogniem na zbudowanym z mokrych gałęzi rusztowaniu. - Takie są najlepsze, pod warunkiem, że wyjmie się je po trzech minutach. Inaczej robią się twarde jak podeszwa. Ale najpierw zajmijmy się kawiozem.

Opiekli kromki chleba nad ogniem i rozsmarowawszy na nich grubą warstwę czarnych kuleczek, zabrali się do jedzenia.

- Delicje. Nigdy w życiu nie jadłem nic równie pysznego - powiedział, oblizując usta ze smakiem.

- Poczekaj, aż spróbujesz moich krewetek.

Leżeli chwilę obok siebie na piasku. Hugo rozkoszował się bliskością Christie i promieniującym z jej ciała ciepłem. Pewnie dlatego aż jęknął z żalu, kiedy nagle zerwała się na równe nogi, by wrzucić krewetki do wrzątku.

Potem spędzili całą godzinę, delektując się delikatnym smakiem skropionych cytryną skorupiaków.

Smakowały bajecznie. Letnia noc, ciepły piasek, wspaniałe jedzenie i towarzystwo cudownej dziewczyny. Czego więcej potrzeba mężczyźnie, rozmyślał, wpatrując się w oświetloną płomieniami ogniska twarz Christie, skupionej na obieraniu parzących ją w palce krewetek. Wyglądała oszalamiająco.

Dopiero po dłuższej chwili zauważyła, że się jej przygląda.

- Coś się stało? - zapytała, wkładając do ust chyba dwudziestą krewetkę.

- Nie, dlaczego pytasz?

- Bo cały czas się na mnie patrzysz.

- Nieprawda.

- Właśnie że tak - upierała się. - A co gorsza, zupełnie nie wiem dlaczego. Chyba że próbujesz podpatrzeć sposób, w jaki jem krewetki. Rzeczywiście, robię to niezwykle elegancko, natomiast ty...

- Co ja?

- Siorbiesz.

- Wcale nie.

- Popatrz. - Wzięła do ręki kolejną krewetkę, oddzieliła palcami skorupkę i włożyła przysmak do ust. - Musisz dokładnie oddzielić mięso.

- Odbywałaś staż na chirurgii? - zażartował.

- Owszem, ale go nie skończyłam. Po śmierci babci...

- Wiem, przyjechałaś tutaj.

- I co w tym złego? To najwspanialsze miejsce na świecie. Czuję się tu potrzebna. O czym więcej mogłabym marzyć?

- Właśnie, o czym? - powiedział, kładąc dłonie na jej ramionach. Dłużej nie potrafił już udawać obojętności. - Christie...

- Słucham. - Popatrzyła mu prosto w oczy spokojnym, lecz czujnym wzrokiem. Nawet się nie przestraszyła.

- Chciałbym cię pocałować - rzekł najłagodniej jak umiał.

- Pewnie poczułbyś smak krewetek! - Roześmiała się, ale nie spróbowała go odepchnąć.

- Ty też.

- Chcesz, żebym się przekonała?

Czy chce? Nic lepszego nie mogłoby go teraz spotkać.

Pociągnął ją na ciepły, morski piasek, a kiedy jego wargi przywarły do jej ust, zdał sobie sprawę, że w tej właśnie chwili coś bezpowrotnie zmieniło się w jego życiu.

Nigdy przedtem nie trzymał w ramionach tak niezwyklej istoty. Pachniała krewetkami, morską wodą i dymem z ogniska, co już samo w sobie było cudowne. A kiedy ją całował, miał wrażenie, że wzajemnie się uzupełniają, jakby skrojeni zostali z tego samego kawałka materii.

Zrozumiał, że ta kobieta posiada moc czarodziejki, że na jedno jej skinienie on sam zrobi wszystko, czego zażąda.

Tymczasem Christie oplótła wokół niego ramiona i przytuliła się tak mocno, jakby dzieliła jego pragnienie. Od początku dzisiejszego wieczoru wiedziała przecież, że jeśli tylko zechce ją kochać, nie będzie stawiała oporu, bo nigdy w życiu nie spotkała równie fascynującego mężczyzny. Poza tym ma tylko trzy dni, by nasycić się uczuciem na tyle, żeby przez resztę życia spokojnie wieść na wyspie samotny żywot starej panny.

- Hugo?

- Tak?

Wsunęła mu rękę pod sweter i delikatnie pieściła skórę na torsie, chłonąc każdą chwilę szczęścia. Dałaby wszystko, żeby ta noc mogła się nigdy nie skończyć.

Ale czy szczęście może trwać wiecznie?

Widać nie, bo niespodziewanie panującą na plaży błogą ciszę przeszył przenikliwy dzwonek telefonu.

Christie znieruchomiała. Jeszcze przez chwilę leżała na piasku z przymkniętymi oczami, powoli wracając z obłoków na ziemię.

- To pewnie pomyłka - szepnął Hugo.

Jednak i on wiedział, że Christie nie może nie odebrać telefonu.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- On nie żyje. Christie, mój ojciec nie żyje.

- Emily, posłuchaj... - Christie z grobową miną przyciskała słuchawkę do ucha.

- To moja wina - szlochała córka Dona Parkera. - Przecież przychodziłam codziennie. Dzisiaj po raz pierwszy w życiu się zbuntowałam, bo powiedział, że gotuję tak wstrętnie, jakbym chciała go otruć. Więc nie przyszedł. Tylko zadzwoniłam wieczorem, żeby mu powiedzieć dobranoc. A on nie podnosił słuchawki. Myślałam, że chce się zemścić za to, że nie przyniosłam kolacji. Ale na wszelki wypadek poszłam sprawdzić. A on już nie żył. Musiał się zdenerwować, że mnie nie ma, i...

- Nie możesz siebie obwiniać, Emily - przerwała jej Christie łagodnym głosem. - Zaczekaj na mnie. Zaraz przyjadę i postaram się ustalić, co się stało. Jesteś pewna, że ojciec nie żyje?

- Tak, absolutnie.

- Jest teraz ktoś z tobą?

- Nie,

- To zadzwoń po panią Whitten. Twój tata miał zapisany jej numer na kartce nad telefonem. Niech zaraz przyjdzie. Będę u ciebie za dwadzieścia minut.

- Naprawdę? W szpitalu powiedzieli, że nie będziesz miała czasu do rana.

- Doktor Flemming zawsze ma czas - odrzekła Christie z ledwie słyszalną nutką goryczy w głosie.

- Pojadę z tobą.

- Naprawdę nie musisz. - Wiosłowali teraz wspólnie, by jak najszybciej pokonać odległość dzielącą ich od domu. - Zostaniesz u nas, a ja wezmę samochód i pojadę do Parkerów. To tuż obok szpitala.

- Wykluczone - uparł się, nie odrywając oczu od przynębionej twarzy swej towarzyszki.

Od momentu, kiedy odłożyła telefon, zachowywała się tak, jakby od początku przeczuwała, że sielanka nie będzie trwać długo.

Wiedział, jak jest przepracowana i jak krótki wypad nad rzekę nagle ujął jej lat, przywracając wręcz dziecięcą bez troskę. A teraz znów zaciążyło na niej brzemię odpowiedzialności. Z całego serca pragnął jej pomóc. Tylko jak?

Nie powinnam się zgodzić, rozmyślała Christie, wiosłując z zapamiętaniem. Przecież Hugo i tak nie może mi pomóc. Muszę jedynie

obejrzyć ciało i wystawić akt zgonu. Nie miała wątpliwości co do przyczyny śmierci, bo Dan od dawna poważnie chorował na serce.

Z drugiej strony, dlaczego ma protestować, skoro Hugo nalega, by jej towarzyszyć? Przecież gotowa jest z otwartymi rękami przyjąć wszystko, co zechce jej zaoferować w ciągu najbliższych trzech dni, dzielących go od wyjazdu z wyspy.

Don rzeczywiście był martwy. Zmarł, siedząc w fotelu przy kominku, w trakcie oglądania telewizji. Wszystko wskazywało na to, że nie cierpiał, tylko spokojnie zasnął na zawsze, nie zorientowawszy się nawet, że nadchodzi koniec.

- Miał lekką śmierć... - Christie próbowała pocieszyć zapłakaną córkę zmarłego, która wciąż czuła się winna.

- Po raz pierwszy od śmierci mamy do niego nie przyszłam - szlochała. - Od lat co wieczór przynosiłam mu kolację. Ale wczoraj był tak przykry, że Mark, to znaczy mój mąż, powiedział, że muszę go tego oduczyc. Pierwszy raz w życiu odważyłam się mu przeciwstawić i powiedziałam, że jak mu nie smakuje, to może sam sobie gotować. A on na pewno tu czekał i czekał, aż się tak zdenerwował, że dostał zawału.

- Gdyby poczuł ból, na pewno próbowałby zadzwonić.

- Nieprawda. - Emily z rozpaczą pokręciła głową. - Siedziałyby dalej coraz bardziej zły, że nie dostał na czas kolacji. To ta złość go zabiła. Przeze mnie.

- Bardzo wątpię - odezwał się Hugo, zbliżając się do zmarłego. - Nazywam się Hugo Tallent i jestem lekarzem - przedstawił się szlochającej kobiecie. - Nie będzie miała pani nic przeciwko temu, żebym zbadał ojca? - zapytał, a otrzymawszy pozwolenie, pochylił się nad zwłokami.

Delikatnie obmacał twarz i szyję zmarłego, po czym zamknął mu powieki. Potem przeniósł wzrok na Emily.

- O której zazwyczaj przynosiła pani ojcu kolację?

- Po siódmej.

- Rozumiem. A teraz - spojrzął na zegarek - dochodzi jedenasta. - Może mi pani podać termometr, doktor Flemming? - Oszołomiona Christie bez słowa spełniła polecenie. Hugo ostrożnie wsunął termometr pod pachę nieboszczyka.

- A teraz proszę sprawdzić temperaturę w pokoju. Chodzi mi o temperaturę powietrza.

Mimo że Christie jeszcze nie rozumiała sensu poczynań towarzysza, intuicja kazała jej ufać, że Hugo dobrze wie, dokąd zmierza. Podeszła do termometru wiszącego na ścianie.

- Dwadzieścia stopni.

Dopiero po trzech minutach, kiedy Hugo odczytał pomiar temperatury ciała Dona, domyśliła się, co próbuje zrobić, i już bez zdziwienia patrzyła, jak podchodzi do Emily i ująwszy w dłonie jej ręce, spogląda jej głęboko w oczy.

- Jest tak, jak podejrzewałem. Temperatura ciała pani ojca wynosi trzydzieści jeden stopni. Jest wyższa niż temperatura powietrza w pokoju, z czego wynika, że śmierć nastąpiła niedawno. Jednak fakt, że spadła do trzydziestu stopni, świadczy o tym, że zmarły nie żyje od co najmniej pięciu godzin. A sądząc z tego, że wystąpiły już pierwsze oznaki pośmiertnego sztywnienia mięśni, należy uznać, że zgon miał miejsce między szesnastą a siedemnastą, czyli zanim ojciec mógł zacząć niepokoić się pani nieobecnością.

- Ale...

- Nie ma żadnego ale. Ojciec na pewno nie cierpiał. Nie był ani głodny, ani spragniony - wskazał głową na nie dopitą szklankę piwa na stoliku obok fotela - i jak sędzę, spokojnie oglądał telewizję. Interesował się krykietem?

- Tak.

- No właśnie. Po południu prawie wszyscy w szpitalu oglądali mecz. Sam rzuciłem okiem, bo nasi gracze świetnie się spisywali. Mogę się założyć, że ojciec pani był tak pochłonięty grą, że nawet nie zauważył, że gorzej się poczuł, i pożegnał się z życiem w świetnym nastroju.

- Tak pan myśli?

- Jestem absolutnie przekonany, że właśnie tak było.

- I nie cierpiał?

- Na pewno nie.

Emily popadła w zadumę.

- Dziękuję - szepnęła po dłuższej chwili, podnosząc na Hugona zaczerwienione od płaczu oczy. - Dziękuję wam obojgu - dodała, przenosząc spojrzenie na Christie. - Jesteście cudowni.

- Mnie właściwie nie miała za co dziękować - zauważyła Christie, kiedy zamknąwszy za sobą drzwi, znaleźli się przed domem zmarłego. - Przecież nie zrobiłam nic, żeby uspokoić jej sumienie.

- Czyżbyś nie zajmowała się na co dzień medycyną sądową? - zartował, lecz mimo to Christie zaczęła się tłumaczyć.

- Oczywiście znam poszczególne fazy rigor mortis, ale nie potrafiłabym tak dokładnie wyliczyć tempa spadku temperatury ciała zmarłego. A może wymyśliłeś ten cały wywód na poczekaniu?

- No wiesz! - oburzył się.

- Ale przecież medycyna sądowa niewiele ma wspólnego z anestezjologią.

- Morderstwa to moja specjalność, doktor Flemming.

- Mam rozumieć, że jesteś żeglarzem mordercą, który w wolnych chwilach zajmuje się anestezjologią? Zaczynasz mi imponować.

- Nareszcie. Myślałem, że nigdy do tego nie dojdzie powiedział, delikatnie ściskając jej dłoń.

- W każdym razie chciałam ci podziękować za to, co zrobiłeś dla Emily. Gdyby nie ty, do końca życia dręczyłyby ją wyrzuty sumienia, mimo że była wspaniałą córką, a Don miał wyjątkowo przykre usposobienie. Więc nawet jeśli mówiłeś nieprawdę...

- Znowu zaczynasz?

- ..to zachowałeś się wspaniale.

- Christie...

- Słucham.

- Przestań.

- A to dlaczego?

- Bo właśnie mam zamiar cię pocałować.

Przyjemności przyjemnościami, ale mimo późnej pory na Christie czekały jeszcze obowiązki w szpitalu.

- Hugo, idź teraz do domu, wypij gorące kakao i kładź się do łóżka - powiedziała, zatrzymując samochód pod domem. Nadal miała w ustach smak pocałunku. Tam, pod drzwiami Dona Parkera, całowali się chyba całe pięć minut i gdyby nie to, że na podjeździe ukazał się samochód z zakładu pogrzebowego, pewnie nadal by trwali w miłosnym uścisku.

Christie czuła się tak, jakby przebudziła się po latach z głębokiego snu z przemożną potrzebą ciepła, życia i miłości. Ale mimo że w ramionach Hugona czuła się naprawdę szczęśliwa, nie mogła zapomnieć, że za trzy dni nie pozostanie jej nic innego, jak tylko porzucić marzenia i wrócić do szarej rzeczywistości.

- Proszę! - Musiała prawie wypchnąć go z samochodu. - Musisz się teraz położyć. Twoje kolano musi trochę odpocząć. Sama nie wiem, dlaczego pozwoliłam ci tak długo chodzić.

- Nie wiesz? Naprawdę? - Uśmiechnął się przewrotnie.

- Nie - odpowiedziała nie całkiem szczerze.

- W takim razie nie pozostaje mi nic innego, tylko się poddać. - W oczach Hugona pojawiły się niepokojące ogniki, których znaczenia nie potrafiła odgadnąć.

Potem pochylił się w jej kierunku i mimo że tym razem jedynie musnął wargami jej usta, poczuła, że przez całe jej ciało znów przebiega miły dreszcz. Może jednak powinna pozwolić mu zostać?

Jednak Hugo zdążył już wysiąść z samochodu. Przez dłuższą chwilę stał jeszcze przed domem i w zamyśleniu patrzył w ślad za odjeżdżającą w kierunku szpitala kobietą.

Zamierzała odwiedzić małą Mary, bo jedynie jej stan dawał w tej chwili pewne podstawy do niepokoju. Właściwie już dawno powinna była odesłać dziewczynkę do specjalisty od chorób płuc w mieście, ale jej rodzice nie chcieli nawet o tym słyszeć.

Jednak ledwie pokazała się w szpitalu, okazało się, że pan Handell nie może zasnąć z powodu silniejszego niż zwykle bólu w biodrze, musiała więc zwiększyć mu dawkę morfiny. Chyba po raz setny spróbowała przekonać pacjenta, że powinien poddać się operacji wstawienia endoprotezy, która uwolniłaby go od bólu i pozwoliła normalnie chodzić. Jednak pan Handell uparcie trwał przy swoim postanowieniu, że za nic w świecie nie opuści wyspy.

Potem wdała się w dłuższą rozmowę z Eileen, siostrą dyżurującą tej nocy w szpitalu. Wreszcie, wydawszy odpowiednie polecenia na następny dzień, zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Właśnie zbliża się pora karmienia małego Davida Myersa - obwieściła raptem pielęgniarka, zapewne chcąc sprawić Christie przyjemność. Wszyscy w szpitalu wiedzieli przecież o przyjaźni łączącej lekarzkę z młodą matką. - Może sama chcesz go zanieść do Liz?

Oczywiście nie mogła odmówić. Gdyby wyjaśniła, że spieszy się do domu, bo ma nadzieję, że Hugo jeszcze nie śpi, już rano na wyspie gwaro by było od plotek.

- No pewnie - uśmiechnęła się.

Jak na wcześniaka noworodek był w znakomitej formie. Ledwie Liz podała mu pierś, przestał płakać i zaczął ssać z zapamiętaniem, zapominając o bożym świecie.

- Wiesz, że dopiero teraz zaczyna do mnie docierać, że mam takiego ślicznego, zdrowego synka. Od początku okropnie się bałam, a po tym wszystkim, czego nazytałam się podczas ciąży, jak w dodatku zaczęłam rodzić przed czasem i powiedziałaś, że musisz mi podać narkozę, byłam przekonana, że stracę dziecko. Gdyby nie Hugo Tallent...

- Wielkie dzięki. - Christie uśmiechnęła się cierpko. - Nie przeczę, że doktor Tallent bardzo nam pomógł, ale bądź łaskawa nie zapominaj o moich zasługach, W końcu to ja odebrałam poród!

- Wiem, ale przecież mogę chyba powiedzieć, że to cudowny człowiek. Zresztą, na pewno sama też tak sądzisz.

- Ja?

Liz знаła przyjaciółkę na ryle dobrze, żeby nie dać się zwieść pozorom.

- Christie... - zaczęła, przyglądając się jej z uwagą.

- Muszę już iść. Wpadłam tylko na chwilę.

- Nie oszukasz mnie. Też sądzisz, że Hugo Tallent jest cudownym człowiekiem, prawda?

- A nawet jeśli, to co? Jest świetnym specjalistą, ma doskonałą pracę w Brisbane i o ile wiem, w najbliższy piątek opuszcza Briman.

- Też mogłabyś stąd wyjechać. Skończyć specjalizację z chirurgii...

- I co? Zostawić wyspę bez lekarza? Kazać dziadkowi wynieść się stąd po tylu latach?

- No nie - zmartwiła się Liz. - Ale to takie niesprawiedliwe, że musisz dla nas rezygnować z miłości...

- A kto tu mówi o miłości! - zachnęła się Christie. - To, że mnie pocałował, nie znaczy...

- Pocałował cię! - wykrzyknęła Liz tak głośno, że chyba słyhać ją było w całym szpitalu, a mały David z przestachu przestał ssać i zaniósł się płaczem.

- Przepraszam, kochanie. - Utuliwszy synka, Liz ponownie podała mu pierś. - Christie, masz mi natychmiast opowiedzieć o wszystkim.

- Ale o czym?

- Jak to?

- Posłuchaj, z iloma chłopakami całowałaś się, zanim poznałaś Henry'ego?

- Nie wiem, nie liczyłam.

- Właśnie. Więc chyba rozumiesz, że głupi pocałunek o niczym nie świadczy. Hugo wyjedzie, a ja zostanę tutaj.

- Z rozdartym sercem, prawda? - szepnęła młoda mama ze smutkiem. - Uważaj na siebie, Christie. Jeśli naprawdę sądzisz, że nie ma dla was przyszłości, nie pozwól, żeby sprawy zaszły zbyt daleko.

Hugo nie mógł zasnąć. Leżał na łóżku z rękami pod głową i wpatrywał się w sufit. Słyszał, kiedy Christie wróciła do domu, ale nie wyszedł z pokoju. Ogarnął go lęk, że ulegając namiętności, ściągnie nieszczęście zarówno na nią, jak i na siebie.

I tak za bardzo się zaangażował. A przecież w jego życiu nie ma miejsca i czasu na romanse. Już teraz ledwie daje sobie ze wszystkim radę. W dodatku przez ten wypadek niespodziewanie stracił kilka dni i będzie musiał

nadrabiać zaległości. Musi być w Brisbane najpóźniej w sobotę, w poniedziałek wylatuje na parę dni do Nowego Jorku, a gdy wróci, będzie musiał poświęcić się pracy w szpitalu. Może Henry zgodzi się zastąpić go trochę dłużej na oddziale, by mógł w Stanach pozałatwiać wszystkie niezbędne sprawy. Ale najgorsze było to, iż czuł teraz taki mętlik w głowie, że w ogóle nie wiedział, jak zdoła się zabrać do pracy.

Nie, w jego życiu nie ma teraz miejsca dla kobiet, postanowił. Dla żadnych kobiet. Nawet dla Christie.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Spotkali się dopiero następnego wieczoru.

Od samego rana Christie pracowała bez wytchnienia, jakby połowa mieszkańców wyspy zmówiła się nagle, żeby właśnie w ten wtorek zapaść na zdrowiu. Co gorsza, nie mogła nawet przełożyć części lżejszych przypadków na następny dzień, gdyż każdą środę spędzała wśród aborygenów z plemienia Koori, zamieszkujących drugi koniec wyspy.

Skoro nie znalazła nawet wolnej chwili, by wrócić do domu na lunch, tym bardziej nie miała kiedy zrobić zakupów. Trudno, - Hugo będzie musiał zadowolić się dzisiaj jajkiem na grzance, pomyślała, odkładając w rejestracji kartę ostatniego pacjenta.

- Wracasz do domu do swojego młodego doktora? - zapytał ze śmiechem Ray, posiwiały woźny, który od dwudziestu lat praktycznie trząsał szpitalem.

Za młodu był rybakiem, ale w czasie jednego z połowów stracił dłoń. Wtedy Stan zaproponował mu pracę u siebie.

- Jak chcesz, mogę wyciągnąć gdzieś doktora Flemminga na wieczór. - Staruszek mrugnął porozumiewawczo.

- A niby dlaczego? - Ciekawe, ilu mieszkańców wyspy już wie, że spędziła wczorajszy wieczór w towarzystwie Hugona.

- W końcu, drogie dziecko, tobie też należy się trochę miłości.

- Trudno mówić o miłości, kiedy rzekomy adorator tylko czeka, żeby wrócić do Brisbane.

- Akurat!

Znała woźnego na tyle dobrze, by od razu zrozumieć, że coś przed nią ukrywa.

- No dobrze, mów szybko, czego się dowiedziałeś.

- To tylko plotki.

- Nie szkodzi. Jak wiesz, powtarzanie mi plotek należy do twoich podstawowych obowiązków. Masz to zapisane w umowie.

Jej uwaga nie do końca pozbawiona była sensu. Ileż to razy zdołała przyjść komuś z pomocą tylko dzięki informacjom pozyskanym od Raya.

- Twój doktor Tallent wcale nie kupił dziś biletu do Brisbane, tylko zarezerwował na czwartek lot z Brisbane na wyspę dla kogoś o takim samym nazwisku. Tak przynajmniej twierdzi Lisa, która osobiście przyjęła rezerwację.

Ładne rzeczy!

Ciekawe gdzie Hugo zamierza umieścić swojego gościa? Co prawda łóżko, na którym spał, było dwuosobowe, ale chyba nie przyszłoby mu do głowy sprowadzić do domu dziadka kolejną osobę? Dobry Boże, a może Hugo ma żonę?!

Gubiąc się w domysłach, szła ścieżką nad morzem. Gdyby ktoś ją teraz zobaczył, pomyślałby zapewne, że postradła rozum, bo żywo gestykulując, spierała się na głos sama z sobą. Na szczęście wiał tak silny wiatr, że nikomu nie chciało się wychodzić z domu.

- Mógł mnie poinformować o swoich planach! Co prawda nie widzieliśmy się dzisiaj, więc pewnie uznał, że wystarczy, jeśli powie dziadkowi. - Nie wątpiła, że dziadek nie posiadał się z radości na wieść o kolejnym gościu. - Teraz pewnie siedzą w kuchni i czekają, aż kochana Christie wróci do domu i podstawi im pod nos kolację. Tylko skąd, do diabła, mam brać pieniądze na utrzymanie dodatkowych osób?

Ciekawe, kogóż to zaprosił na Briman! Może jakąś kobietę? Nie, raczej nie. Już wiem, na pewno postanowił ściągnąć tu jakiegoś szkutnika do naprawy łodzi. A Lisa pewnie po prostu zapomniała powiedzieć Rayowi, że kupił jeszcze dwa bilety powrotne.

Hugo rzeczywiście był w kuchni, lecz wcale nie czekał, aż Christie przygotuje kolację. Cały dom wypełniał aromat świeżych ziół, o których istnieniu nie miała nawet pojęcia.

- Curry? - zapytała z niedowierzaniem, wetknąwszy głowę do kuchni.

- Zgadłaś. - Właśnie mieszał coś w garnku. - A domyślasz się jakie?

- Jak to jakie? W naszym sklepie jest tylko jeden gatunek curry. Doris twierdzi, że wszystkie inne pachną czosnkiem, który zdecydowanie źle wpływa na rozwój towarzyskich kontaktów.

- Tylko ktoś, kto nie poznał smaku świeżego czosnku, mógł wymyślić coś równie bzdurnego. Dzisiaj wszyscy troje najemy się czosnku po uszy,

- Co na to moi pacjenci?

- Jeśli zaczną narzekać, powiedz im, żeby zmienili lekarza. Ale nie przejmuj się, i tak wszyscy już wiedzą, co jemy dziś na kolację.

- Nie rozumiem.

- Zwiedziliśmy dziś z Hugonem całą wyspę w poszukiwaniu składników.

- Stan podniósł głowę znad deski, na której z chirurgiczną dokładnością siekał zdrową ręką garść zieleniny. - Postanowiliśmy ugotować prawdziwe curry, więc ściągnęliśmy przepis z Internetu, a potem ruszyliśmy na łowy.

- Twój dziadek świetnie wie, kto co hoduje w ogrodzie - wyjaśnił Hugo z uznaniem.

Obaj mężczyźni najwyraźniej świetnie się bawili. Jak dwójka małych dzieci, które dostały w prezencie nową zabawkę, pomyślała, lecz nie odezwała się ani słowem.

- Phyllis Hay sadii czosnek dla ochrony róż przed mszycami - ciągnął Stan. - Mat i Bom Harveyowie od lat chwalą się, że hodują najróżniejsze zioła, choć nie słyszałem, żeby w ogóle z nich korzystali. W każdym razie dali nam świeżą kolendrę. A Tom Bangaranna ma u siebie imbir i chilli.

- To znaczy, że od samego rana zajmujecie się przygotowaniem kolacji?

- Wcale nie. - Hugo pokręcił głową. - Przed południem Stan i ja obejrzeliliśmy dokładnie jacht, żeby ocenić uszkodzenia...

- Przedstawiłem Hugonowi najlepszego szkutnika na wyspie. I wyobraź sobie, że Alf Willis aż się pali, żeby zająć się łodzią.

- Całkiem wyleciało mi z głowy, że Alf jest szkutnikiem.

- Tak jak wszystkim. - Stan pokiwał głową ze smutkiem.

- Teraz rybacy sprowadzają z kontynentu kutry z plastiku.

Ale "Sandpiper" jest z drewna. To piękna łódź, a jeśli jeszcze Alf przyłoży się do jej naprawy...

- To znaczy, że powierzysz mu jacht?

- A co? Nie powinienem?

- Nie, skąd.

- Mój ojciec przyleci tu w czwartek, żeby podjąć ostateczną decyzję.

- Ach, tak. - Więc to dla niego ten bilet. Właściwie powinna była się domyślić. - A gdzie będzie mieszkać?

- W domku obok. Wynająłem go dzisiaj.

Po chwili milczenia Christie wybuchnęła głośnym śmiechem. Chyba jednak nie doceniała Hugona Tallenta.

- Więc to dlatego wracałaś do domu tak-naburmuszona? Myślałaś, że zwałę ci na głowę kolejnego gościa?

- Nieprawda.

- Przyglądałem ci się, jak otwierałaś furtkę. Na pewno ktoś zdążył cię już poinformować o wizycie mojego taty.

- Skąd. O niczym nie wiedziałam - zaprzeczyła nieszczerze, czując, jak oblewa się rumieńcem. - Obaj z tatą zamieszkacie obok?

- Zostanę tylko na trochę, żeby pomóc mu się rozlokować - odrzekł z tak dziwnym wyrazem twarzy, że Christie postanowiła nie drażnić tematu.

- Ale jakim cudem zdołałeś wynająć właśnie ten dom?

- Jak wiesz, stoi pusty od czasu śmierci rodziców naszej sklepowej - wtrącił Stan. - Doris za nic nie chce go sprzedać, ale kiedy usłyszała, że miałby w nim zamieszkać ojciec Hugona.

- Dotąd nawet nie chciała słyszeć, że ktoś obcy mógłby się wprowadzić.

- Hugo potrafi omotać chyba każdą kobietę. Trzeba było widzieć Doris, jak się rumieniła. Zupełnie jakby miała dwadzieścia, a nie sześćdziesiąt lat. Nawet obiecała posprzątać i przynieść świeżą pościel. Uważaj, moja mała, bo Hugo Tallent zwykł dostawać to, czego zażąda - dodał, przyglądając się wnuczce badawczo.

Curry było przepyszne, a co więcej, Christie nie musiała sama dziś stać przy kuchni. Po raz pierwszy od przybycia na wyspę zastała w domu gotowy posiłek. I to jaki! Pełne aromatu curry z sykim ryżem i plackami chapati.

- Doktorze Tallent, czy mogłabym prosić pana o rękę? - zapytała, przelicykając ostatni kęs.

Hugo jakby nie pojął dowcipu, bo nawet się nie uśmiechnął, tylko spojrzał na nią w taki sposób, że poczuła dziwny dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa.

- Musimy najpierw rozwiązać kilka problemów, kochanie - odrzekł łagodnym, spokojnym głosem. - Daj mi trochę czasu. Daj nam wszystkim trochę czasu.

Cóż mogła odpowiedzieć? Przecież tylko żartowała. Tymczasem Hugo... Nie, to niemożliwe, pewnie też żartował, tym bardziej że właśnie znowu wdał się z dziadkiem w wesołą pogawędkę. Bez słowa wstała od stołu i zaczęła zbierać talerze.

- Będę jeszcze musiała wyjść - odezwała się po chwili, przerywając mężczyznom rozmowę. - Obiecałam Mandy, że odwiezę dziś Scrubbita do domu. - Jakimś cudem zmusiła się, żeby spojrzeć Hugonowi prosto w oczy. - Domyślałam się, że już rozmawiałeś z jej rodzicami.

- Próbowałem, ale nie zastałem ich dzisiaj w domu. -

Hugo skierował na Staną pytające spojrzenie. - Nie będzie miał pan żalu, jeśli wybiorę się tam teraz z Christie?

- Ależ skąd, drogi chłopcze. - Starszy pan uśmiechnął się pod nosem. - Nie musicie się spieszyć. I zaparkujcie na samej skarpie, bo rozciąga się stamtąd piękny widok na zatokę. Sam nieraz jeździłem tam z babcią Christie. To doprawdy wyjątkowe miejsce.

- W jakim sensie, proszę pana? - Hugo nie byłby sobą, gdyby darował sobie okazję, by wprawić Christie w zakłopotanie.

- Jeśli się sam nie domyślasz, to ja na pewno ci tego nie powiem - odparował Stan. - A teraz już idźcie i pozwólcie staremu człowiekowi powspominać, jak sam niegdyś bywał na skarpie po zmroku.

Policzki paliły Christie tak silnie, że obawiając się, iż może strzelić jakąś gafę, przestała się w ogóle odzywać.

Hugo też popadł w zadumę i tylko raz na jakiś czas spoglądał z ukosa na swą towarzyszkę, która zdawała się skupiać całą uwagę na prowadzeniu samochodu.

Mimo że jechali w milczeniu, targały jednak nimi uczucia, których znaczenia Christie nie potrafiła sobie jeszcze wytłumaczyć.

Scrubbit powitał ich radosnym szczeknięciem. Christie, która zbadała psa przed wyjściem ze szpitala, teraz załamała dłonie na jego widok.

- Coś ty narobił? Wyrwałeś sobie kropłówkę! Podeszła do klatki i wzięła psiaka na ręce.

- No, pokaż się.

Terier wesoło podniósł do góry łepkę i w szaleńczym tempie zamerdał sterczącym ogonkiem. Najwyraźniej nie pomylił się, uznając, że kłopotliwa kropłówka nie jest mu dłużej potrzebna.

- Niesamowite! - Hugo przyglądał się zwierzęciu jak oniemiały. - Wyobrażasz sobie pacjenta, który zaledwie dzień po ciężkiej operacji zachowywałby się w ten sposób?

- A wyobrażasz sobie niedoszłego topielca, podającego znieczulenie rodzącej? - roześmiała się Christie. - Chyba jesteście ulepieni z tej samej gliny.

- To ci dopiero komplement!

Zabrali psa do samochodu i znowu jechali w milczeniu, choć obojgu słowa pchały się same na usta.

Gloria i Barry King oglądali telewizję. Jeszcze na ulicy Christie i Hugo usłyszeli dźwięk nastawionego na pełny regulator odbiornika. W pokoju Mandy na piętrze paliło się światło. Na dwa tygodnie przed egzaminami dziewczyna praktycznie nie odrywała oczu od książek.

Christie zapukała do drzwi.

Nikt nie otworzył, tylko z wnętrza domu dobiegł ich nieprzyjemny kobiecy głos oskarżający męża o to, że pewnie zaprosił gości.

Zapukała ponownie.

Po dłuższej chwili Gloria uchyliła drzwi i zmierzyła przybyłych wrogim spojrzeniem. Miała na sobie jedwabną nocną koszulę i śmieszne, satynowe klapki. Hugo, który wiedział coś niecoś na temat cen damskiej bielizny, zaczynał rozumieć, dlaczego Kingom brak jest pieniędzy na kształcenie córki.

Dostrzegłszy psa, Gloria chwyciła za klamkę.

- Powiedziałam Mandy, że ma go uspić. Nie chcemy go tutaj.

Jednak Hugo był szybszy. Wsunął stopę między framugę i drzwi i gdyby nie ciężkie, skórzane buty, które miał na nogach, zapewne znowu wylądowałby w szpitalu, bo uderzenie było więcej niż silne. Ale czy mężczyźnie przystoi okazywać ból wobec potwora?

- Możemy wejść? - zapytał uprzejmie.

. Kiedy Gloria ponowiła próbę zatrzęsnięcia gościom drzwi przed nosem, po prostu pchnął je na tyle silnie, że otworzyły się szeroko, i przepuściwszy przed sobą Christie, wszedł do środka.

- Dobry wieczór, pani King. - Teraz znów zachowywał się z ostentacyjną grzecznością, jakby nie dostrzegł wrogiego nastawienia kobiety. - Nazywam się Hugo Tallent, jestem lekarzem i pomagałem doktor Flemming leczyć waszego psa.

Gloria najwyraźniej nie słuchała, bo cała jej uwaga skupiona była na owiniętej bandażem łapie Scrubbita.

- Nie zapłacimy ani centa - warknęła. - Barry, chodź tutaj. Mówiłam ci, żebyś pozbył się tego psa.

- Scrubbit! - Na schodach rozległ się radosny krzyk Mandy. - Piesku, wróciłeś do domu! - Dziewczyna spojrzała na Christie błyszczącymi z radości oczami. - Dziękuję, dziękuję, dziękuję!

- I tak nie zamierzam płacić. Nic od nas nie wyciągniecie.

- Nie przyszłam po Zapłatę - odezwała się Christie zmęczonym głosem. - Lubię Scrubbita, a z Mandy przyjaźnimy się od dawna. Jeśli będzie chciała mi podziękować, to po egzaminach pomoże mi porządkować karty w szpitalu.

- Na twoim miejscu nie liczyłabym na to. Zaraz po egzaminach Mandy idzie do pracy. Mam już po dziurki w nosie tej zabawy w naukę.

Barry King, który pojawił się właśnie za plecami małżonki, nie odezwał się dotąd ani słowem. Był szczupłym, wręcz żyłastym mężczyzną o pozbawionej wyrazu twarzy, a teraz sprawiał wrażenie, jakby chciał zapaść się ze wstydu pod ziemię.

- To dziwne, że wspomniała pani o szkole, bo właśnie na ten temat chciałem z państwem porozmawiać. Możemy zabrać państwu kilka minut?

- Nie - odrzekła Gloria lodowatym tonem.

- Panie King? Możemy wejść? Cisza.

- Panie King? Chciałbym zamienić z panem kilka słów. - Hugo patrzył prosto w oczy Barry'ego, nie zwracając uwagi na zachowanie jego rozwścieczonej małżonki. - Możemy wejść do środka?

- Pewnie. Czemu nie?

- Dziękuję.

Znalazłszy się w pokoju, bez pytania wyłączył telewizor i wygodnie rozsiadł się w fotelu. Najwyraźniej nie zamierzał zbyt szybko wychodzić.

- Mandy, weź Scrubbita na górę i zostaw nas teraz samych. Ta rozmowa między doktor Flemming, twoimi rodzicami i mną.

- Ale...

- Biegnij na górę, kochanie. - Mrugnął do Mandy porozumiewawczo, po czym wskazał na krzesła. - Proszę, siadajcie. Chciałbym omówić z państwem kilka niecierpiących zwłoki spraw.

Przyglądając się tej scenie, Christie z trudnością powstrzymywała się od śmiechu. Straciwszy wszelką kontrolę nad przebiegiem wydarzeń, Gloria potulnie przysunęła krzesło i usiadła bez słowa, nie spuszczać wzroku z twarzy nieproszonego gościa.

- Mają państwo bardzo zdolną córkę - zaczął Hugo.

- To ona tak uważa. - Fakt, że matka dziewczyny raczyła go wysłuchać, nie oznaczał wcale, że pojawi się w niej życzliwość. - Właściwie niczym się nie wyróżnia spośród innych dzieci.

- Nauczycielka twierdzi, że ma świetne stopnie. Wręcz rewelacyjne.

- I co z tego?

Hugo pochylił się do przodu, przyjrzał uważnie obojgu, po czym utkwiał wzrok w twarzy Barry'ego.

- Mandy kocha zwierzęta - rzekł powoli. - Widziałem, jak zachowywała się w trakcie operacji Scrubbita. Ma wszelkie dane, żeby zostać doskonałym weterynarzem.

- W żadnym wypadku - zaprotestowała Gloria, lecz Hugo nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, tylko nadal wpatrywał się w ojca dziewczyny. - Gdyby dostała pieniądze na studia, czy zabroniliby jej państwo kontynuować naukę?

- Ja... - Mężczyzna skierował na żonę bezradne spojrzenie, ale Hugo natychmiast przywołał go do porządku.

- Panie King, pytam pana, czy zabroniłby pan córce pójść na studia, gdyby okazało się, że posiada fundusze?

- Nie. - Barry King w końcu zdobył się na odwagę. - To dobre dziecko. Ale i tak nie mamy pieniędzy.

- Opłacę jej studia.

W pokoju zapadła kompletna cisza.

- O czym pan mówi? - Gloria pierwsza przerwała milczenie. - Nie stać nas na to, żeby ją wysłać na pięć lat do Brisbane.

- Mówiłem już, że to ja zapłacę za studia Mandy. Wasza córka kocha zwierzęta i będzie świetnym lekarzem weterynarii. Dlatego pragnę umożliwić jej ukończenie studiów.

Gloria przymrużyła powieki.

- Skoro tak, to proszę nam dać te pieniądze, a obiecuję, że dopilnuję, żeby zrobiła z nich dobry użytek.

- To niestety nie będzie możliwe - odrzekł Hugo z uprzejmym uśmiechem. - Doktor Flemming nie bardzo mi ufa i dlatego zażądała, żebym zdeponował pieniądze na rachunku powierniczym, zanim Mandy rozpocznie naukę. Ale zaręczam, że odład córka nie będzie kosztować was ani centa.

- A co pan będzie z tego miał?

- Świadomość, że za pięć lat wyspa Briman będzie miała własnego weterynarza - odrzekł. - A poza tym - uśmiechnął się do Barry'ego - jak wiecie, przedwczoraj otarłem się o śmierć, a pan podobno był jedną z osób, które pospieszyły mi z pomocą. Więc przynajmniej w ten sposób chciałbym okazać, jak jestem wam wdzięczny.

- To niewiarygodne, że chce pan zrobić to wszystko dla naszego dziecka - wyjąkał ojciec dziewczynki, lecz Gloria pozostała nieprzejejdana.

- Nic z tego - oświadczyła. - Mandy musi iść do pracy i dołożyć się do utrzymania.

Oczywiście! Gloria zawsze miała kosztowne upodobania, a dochody jej męża nie były wysokie. Zapewne zaplanowała już, na co przeznaczy zarobki małej Mandy, pomyślała Christie, obrzucając matkę dziewczynki niechętnym spojrzeniem.

Lecz Hugo zdawał się nie dostrzegać niskich intencji kryjących się w słowach kobiety.

- Wcale nie będziecie musieli jej utrzymywać - zapewnił ze stoickim spokojem. - Pokryję wszelkie wydatki związane z pobytem Mandy w Brisbane. Panie King, czy pozwoli pan córce skorzystać z tej szansy?

Spojrzenia wszystkich, nie wyłączając Glorii, zwróciły się w kierunku ojca dziewczyny.

I oto Barry King stanął na wysokości zadania i po raz pierwszy w życiu postawił na swoim. Wyprostował się, opanował drzenie podbródka i popatrzył na małżonkę nie znoszącym sprzeciwu wzrokiem.

- Zgadzam się. Mandy z radością przyjmie pana propozycję.

- No nie! - wybuchnęła Gloria, zrywając się z krzesła. - Zatlukę tego psa i...

- Siadaj i zamknij się! - Barry niespodziewanie przywrócił żonę do porządku. - I zapamiętaj, od tej chwili masz się po prostu nie odzywać. Jeśli

Mandy nie zabierze psa do Brisbane, sam się nim zajmę. A jeżeli dalej będziesz rzucała jej kłody pod nogi, pewnie w ogóle nie zechce tu wrócić. Tego byś przecież nie chciała. Więc przestań się pieklić, podziękuj grzecznie doktorowi Tallentowi i życz swojej córce szczęścia.

Gloria oniemiała. Patrzyła w milczeniu, jak Barry podaje gościom herbatę, woła Mandy na dół i dowcipkuje z córką na temat jej przyszłej kariery.

Ciekawe co też wydarzy się tutaj po naszym wyjściu, zastanawiała się Christie. Czy Barry zacznie teraz brać odwet na żonie za lata poniewierki, czy też Gloria, odzyskawszy wreszcie równowagę ducha, pokaże rodzinie, na co naprawdę ją stać?

Nie chciała, by ceną, jaką Kingom przyjdzie zapłacić za studia córki, był zawsze fatalny w skutkach rozpad rodziny. Ku własnemu zdziwieniu zauważyła, że Hugo najwyraźniej podziela jej obawy, bo popijając herbatę, raz po raz spoglądał na przygarbioną sylwetkę zgnębioj gospodyni.

Po dłuższej chwili odstawił filiżankę, podszedł do Glorii i ujął w dłonie jej rękę.

- Proszę mi wierzyć, pani King, wszystko się ułoży. Proszę sobie wyobrazić, jaka będzie pani dumna, kiedy Mandy skończy studia. Żadna inna matka na wyspie nie będzie mogła pochwalić się córką weterynarzem.

Gloria zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

- A co więcej, nie będzie kosztowało to pani ani centa. Proszę nie zapominać, moja droga, że lekarze weterynarii świetnie zarabiają - dodał z uśmiechem. - Aha, i jeszcze jedno. Już wcześniej chciałem o to zapytać. Dlaczego pani utyka?

- Ja?!

- Właśnie. Obserwowałem sposób, w jaki się pani porusza, i wydaje mi się, że boli panią stopa. Przenosi pani ciężar ciała na lewe biodro. Nie mylę się, prawda?

Christie zmarszczyła brwi. Jak to możliwe, że sama nie zwróciła na to uwagi? Chociaż... Gloria rzeczywiście zawsze miała dość dziwny chód, który Christie przypisywała wysokim obcasom ich miejscowej elegantki.

- Nie pana interes - burknęła wciąż jeszcze obrażona kobieta.

- Rzeczywiście - zgodził się Hugo. - Podobnie jak studia Mandy. One też nie są moją sprawą, ale taki już mam brzydki zwyczaj, że lubię wtykać nos w nie swoje sprawy.

- Mamusiu, opowiedz doktorowi Tallentowi o wszystkim. Przecież od dawna cię boli.

- Dlaczego nigdy do mnie nie przyszedłeś? - zdziwiła się Christie.

- Radziłam się kiedyś twojego dziadka. Nawet odesłał mnie do specjalisty w Townsville, ale tam też nie potrafili mi pomóc.

- Ale w czym leży problem? - spytał Hugo z zatroskaną miną, jakby problemy zdrowotne Glorii King stanowiły jego osobiste zmartwienie.

Christie osłupiała. Przecież jeszcze niespełna pięć minut temu sam by uduślił babsztyla gołymi rękami.

- Nie muszę się panu spowiadać...

- Oczywiście, że nie. Ale ma pani teraz niepowtarzalną okazję zasięgnąć bezpłatnej porady specjalisty. Ostrzegam, że w piątek opuszczam wyspę.

Christie zadrżała. Więc jednak postanowił wyjechać!

- Mam brodawczaki - Gloria bąknęła w końcu z zawstydzaniem.

- Brodawczaki?

- A co, nigdy pan o nich słyszał?

- Proszę pani, dobrze wiem, czym jest brodawczak. To rodzaj niezłośliwego nowotworu, podobnego do kurzajki. Tylko dziwię się, że się pani nie leczy.

- Już dawno przeszłam wszystkie możliwe kuracje. Nawet usuwali mi to świństwo chirurgicznie, ale stale odrasta.

Chodziłam na naświetlania, stosowałam różne cuchnące mazidla, wszystko na nic.

- Mógłbym obejrzeć pani nogę? - zapytał i zanim Gloria zdążyła zaprotestować, ściągnął jej ze stopy satynowe klapki.

Christie, której myśli jeszcze przed chwilą w większym stopniu zaprzętała perspektywa rozstania z Hugonem niż kłopoty pani King, aż jęknęła na widok zniekształconej przez chorobę stopy. Od palców po piętę skórę pokrywały różnej wielkości narośle. Spękane i obrzmiałe z powodu rozlicznych infekcji musiały od dawna powodować silną bolesność.

Nic dziwnego, że Gloria jest zawsze w złym humorze, skoro bez przerwy dokucza jej ból.

- Dlaczego nic nie mówiłaś? - zapytała.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Gloria King ani razu nie odwiedziła jej w charakterze pacjentki. Z kolei sama wolala nie pytać jej o zdrowie, z obawy, że jak zwykle otrzyma obelżywą odpowiedź.

- A co by to dało? Medycyna nie potrafi mi pomóc.

- Jestem skłonny przypuszczać - odezwał się Hugo, obejrzawszy z uwagą opuchnięte stopy - że dałoby sieje usunąć.

- Jakim cudem, skoro nikomu się to nie udało?

- Niedawno czytałem o nowej metodzie leczenia brodawczaków. Jeśli córka pani pomoże...

- Mandy?
- Właśnie - uśmiechnął się. - W ten sposób i ona zdobędzie nowe doświadczenie. Sądzę, że w pani przypadku DNCB powinno być skuteczne.
- DNCB? A co to takiego?
- To środek, który prawie zawsze w kontakcie ze skórą wywołuje reakcję alergiczną. W wielu przypadkach, właśnie dzięki tej reakcji, udaje się nam pobudzić system odpornościowy pacjenta.
- Proszę mi to dokładniej wyjaśnić. - Ku zaskoczeniu Christie Gloria słuchała lekarza z wyraźnym zaciekawieniem.
- Pani skóra w pewien sposób przyzwyczała się do obecności brodawczaków i przestała reagować na nie jak na ciało obce. Dlatego nawet nie próbuje się ich pozbyć. Nasze działania polegać będą na tym, że najpierw zaaplikujemy pani kroplę DNCB na skórę przedramienia...
- I co wtedy? - zapytała Christie. Sama też nie słyszała o takiej metodzie leczenia.
- Po trzech tygodniach powinno pojawić się uczulenie. Nauczę Mandy, jak nakładać preparat na zmienione miejsca na stopie. Sądzę, że w ten sposób zdołamy oszukać pani system odpornościowy. Organizm zacznie reagować na brodawczaki alergią i postara się ich pozbyć. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, po prostu się złuszcza. Poprawa oczywiście nie będzie natychmiastowa, ale w ciągu trzech miesięcy powinno być po wszystkim.
- Naprawdę?
- Hugo spojrział na Głorię z pełnym współczucia, budzącym zaufanie uśmiechem.
- Nie mogę oczywiście dać pani stuprocentowej gwarancji, ale zdziwiłbym się, gdyby w pani przypadku kuracja DNCB okazała się nieskuteczna. Więc proszę dać sobie szansę. W piątek wracam do Brisbane i od razu wyślę preparat, żeby doktor Flemming mogła rozpocząć leczenie.
- To znaczy, myślała Christie, że nie ma zamiaru tu wracać, bo gdyby było inaczej, powiedziałby, że sam przywiezie lek. Prawie załamana, zaczęła się zbierać do wyjścia, ale Hugo wyraźnie zamierzał kontynuować rozmowę.
- A tak przy okazji, to zaczynam się domyślać, skąd Mandy czerpie swój talent - oznajmił z rozbijającą miną. - Widać to prawda, że zdolności do nauki zwykle dziedziczy się po rodzicach.
- O czym, na Boga, on bredzi, jęknęła Christie w duchu. Była tak oszołomiona, że chciała jak najszybciej opuścić dom Kingów.
- Bardzo szybko pojęła pani, na czym polega działanie DNCB. - Spojrział na Głorię z nieskrywanym podziwem. - Wielu pacjentów ma z tym spore problemy.

- Fakt, że w szkole miałam dobre stopnie.

- Więcej niż dobre - wtrącił Barry z wyczuwalną dumą w głosie. Mimo przykrego usposobienia małżonki ewidentnie nie przestał jej darzyć uczuciem. - Gloria jest młodsza ode mnie o dwa lata, ale była tak zdolna, że. chodziliśmy do tej samej klasy. W osiem lat opanowała program dziesięciolatki.

- Ale nie mogła się pani dalej uczyć, tak? - zapytał Hugo z ubolewaniem.

Podbródek kobiety zaczął drżeć tak silnie, że Christie odniosła wrażenie, iż z trudem powstrzymuje się ód płaczu.

- Musiałam iść do pracy. Miałam czternaście lat, kiedy mama zaprowadziła mnie do fabryki konserw. Gdybym była chłopcem, pewnie zostałabym rybakiem, a to już zawsze coś. Ale dla dziewczyn nie było tu żadnych perspektyw, a moi rodzice nie mieli pieniędzy, żeby mnie wysłać do miasta.

- Gdyby nie to, pewnie sama skończyłaby pani weterynarię, prawda?

- Może - odrzekła Gloria ze łzami w oczach. - Ale dzięki panu przynajmniej Mandy ma teraz szansę.

- A nie myślała pani, żeby znów podjąć naukę? - zapytał Hugo, wprawiając wszystkich w kompletne osłupienie.

- Niby jak? Po pierwsze studia kosztują majątek, a po drugie chyba zdążył się pan zorientować, że Briman to zapadła dziura, a nie ośrodek uniwersytecki.

- Ma pani przecież telewizor, a w programie jest teraz mnóstwo kursów korespondencyjnych powtarzanych o różnych porach. Nie zdziwiłbym się, gdyby ze względu na dojrzały wiek i miejsce zamieszkania została pani zwolniona z wszelkich opłat i zrobiła dyplom za darmo.

- Żartuje pan? - Na twarzy Glorii malowała się teraz podejrzliwość. - A co, pana zdaniem, miałabym w ten sposób studiować?

- No, rzeczywiście, może nie medycynę. Ale istnieje wiele innych możliwości. Czym chciałaby pani się zająć?

- Nie zastanawiałam się nad tym. - Gloria wzruszyła ramionami. - Poza tym, wszyscy na wyspie chyba pękaliby ze śmiechu.

- A od kiedyż to przejmuję się pani tym, co powiedzą sąsiedzi? - wesoło zapytał Hugo. - Pani Glorio, przecież może pani studiować tyle ciekawych rzeczy. Literaturę, historię, może nawet pisarstwo. Niech pani spróbuje napisać książkę, jakiś mrozący krew w żyłach kryminał. Tylko proszę dać sobie szansę.

- Ja... - Gloria była tak oszołomiona, że nie mogła wykrztusić słowa.

- Przecież nie musi pani dzisiaj podejmować decyzji. Przyślę wam z Brisbane katalog ministerstwa edukacji, żeby mogła pani zapisać się na odpowiedni kurs.

Gloria podniosła się z krzesła z zarumienioną twarzą. W ciągu paru minut przeistoczyła się z potwora w całkiem sympatyczną kobietę.

- Jak sądzę, powinnam panu podziękować.

- W żadnym wypadku! - zastrzegł się Hugo i podeszedłszy do Mandy, pogłodził psa, który spał smacznie w jej ramionach. - Cześć, Scrubbit! Uważaj na siebie - dodał. - Doktor Flemming, teraz naprawdę musimy już iść. Zostało nam jeszcze parę spraw do załatwienia.

- Kim ty właściwie jesteś? - spytała Christie, zajmując miejsce za kierownicą. - To niewiarygodne. Okręciłeś sobie ich wszystkich wokół palca, natychmiast zauważyłeś, że Gloria utyka, podczas gdy ja, mimo że właściwie się tu wychowałam, w ogóle nie zwróciłam na to uwagi, a do tego od razu wiedziałeś, jak ją leczyć. Jesteś chyba cudotwórcą.

- Po pierwsze, nie jestem cudotwórcą, a po drugie, gdybym tak jak ty widywał ją prawie codziennie, pewnie też uważałbym, że po prostu ma taki dziwny sposób chodzenia.

- Nie przerywaj mi! - Z trudem panowała nad wzburzeniem. - Jakim cudem bez większego wysiłku zdołałeś przywrócić sens jej życiu, dzięki czemu wreszcie przestanie zatruwać życie najbliższym? Czy zdajesz sobie sprawę, że przez jej wredny charakter od lat przepisuję Barry'emu valium na uspokojenie?

- Nie przesadzaj.

- Cokolwiek powiesz, pomogłeś mu bardziej niż to cholerne valium. Jakby tego było mało, wiesz wszystko o kursach korespondencyjnych i o DNCB, o którym sama nawet nie słyszałam, mimo że to ja jestem lekarzem ogólnym. Nie rozumiem, jakim cudem, będąc anestezjologiem, śledzisz najnowsze osiągnięcia w dermatologii, znasz się na medycynie sądowej, psychologii, a nawet potrafisz podać narkozę psu... - Christie była bliska łez.

- Czyżby poczuła się pani niepełnowartościowa, pani doktor?

- Właśnie - odrzekła szczerze. - Ile czasu poświęcasz anestezjologii?

- Mnóstwo. - Teraz Hugo był wyraźnie urażony. - Czyżbyś w to wątpiła?

- Nie, ale...

- Posłuchaj, nie podrzuciłabyś mnie na chwilę na przystań? Jestem tam z kimś umówiony,

- Teraz? O dziewiątej wieczór?

- Właśnie. To jak? Jedziemy?

- Czy wiesz, że przez ciebie mam wrażenie, że jestem najgorszym lekarzem w całej Australii?

- Bzdura. Jesteś świetna - zapewnił ją i uśmiechnął się tak ujmująco, że gdyby nie to, że droga była szeroka i prosta, pewnie zjechałaby do rowu. - Gdybyś była kiepskim lekarzem, nie robiłbym tych wszystkich planów.

- Jakich planów? - wykrztusiła.

- To na razie przynajmniej tajemnica. Ale obiecuję, że w odpowiednim czasie dowiesz się wszystkiego. Zaufaj mi, proszę. Jeszcze tylko dwa dni. Potem wyjadę.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ku zaskoczeniu Christie to Ben okazał się ową tajemniczą osobą, z którą Hugo umówił się na przystani. Kiedy zatrzymała samochód obok suchego doku, chłopiec zeskokczył z barierki, na której siedział zapatrzony w morze, i podbiegł do nich.

- Jak tam ręka, młody człowieku? - zapytał Hugo na powitanie.

- Dobrze. Doktor Flemming świetnie ją zszyła. Nawet zaczyna już swędzieć.

- To znaczy, że się goi. Tylko nie próbuj jej drapać.

- Pewnie, że nie.

Ben spojrział na Christie z nieśmiałym uśmiechem i wskazał głową na stojący w doku jacht.

- Trochę pokiereszowany, prawda?

- Trudno. Najważniejsze, że dzięki tobie i twojej mamie obyło się bez ofiar. - Hugo poklepał chłopca po ramieniu.

W świetle nadmorskiej latarni Christie zauważyła, jak twarz dziecka oblewa się rumieńcem, a wargi rozchylają w radosnym uśmiechu. To niewiarygodne, pomyślała. Przecież jeszcze kilka dni temu ten sam chłopiec wpadał w złość, ilekroć usłyszał jakąkolwiek wzmiankę o matce.

- Pewnie - odrzekł z udawaną nonszalancją, wkładając ręce do kieszeni spodni. - Tata mówił, że chciał się pan ze mną widzieć. Przepraszam, że nie mogłem przyjść wcześniej, ale miałem zbiórkę harcerską.

- Może to nawet lepiej, bo doktor Flemming też już jest wolna i będzie mogła usłyszeć, co mam ci do powiedzenia. Zastanawiałem się, czy mógłbyś mi pomóc. Wiesz, że będę tu tylko do piątku?

- Słyszałem.

- Ale na wyspie zostanie mój tata.

- Po co?

- To jego jacht i jest do niego bardzo przywiązany. Będzie mieszkał w domku obok doktor Flemming i jej dziadka i nadzorował remont "Sandpipera".

- Ale co ma to ze mną wspólnego? - Chłopiec, podobnie zresztą jak Christie, umierał z ciekawości.

- Słyszałem - ciągnął Hugo ze wzrokiem utkwionym gdzieś w morze - że zdarzają się tu różne chuligańskie wybryki, a jakieś łobuziaki nawet niszczą rybakom łódki.

- Naprawdę? - zdziwił się Ben z miną niewiniątka.

Christie przyglądała się całej tej scenie z niemym rozbawieniem, gdyż podobnie jak większość mieszkańców wyspy domyślała się, że to właśnie młody Ben jest sprawcą niecznych ekscesów. Tylko jak, na Boga, Hugo zdołał się o tym dowiedzieć?

- Chciałbym zaproponować ci pracę. Jeśli się zgodzisz, oczywiście będę ci płacił.

- A co miałbym robić?

- Kilka rzeczy. Po pierwsze, chciałbym, żebyś przypilnował jachtu. Co prawda będzie tutaj mój tata, ale kiedy się ma siedemdziesiąt parę lat, trudno jest wszystkiego dopilnować, szczególnie wieczorem. Rzecz jasna, nie wymagam, żebyś tutaj koczował, tylko żebyś zwyczajnie miał uszy i oczy otwarte na to, co się dzieje.

- A co poza tym? - Ben nagle stał się podejrzliwy.

- Kiedy mój tata w końcu zwoduje łódź, prosiłbym cię, żebyś wypłynął z nim w morze w charakterze załogi.

- To znaczy?

- Bez wątpienia będzie chciał wypróbować jacht, dlatego potrzebny mi ktoś, kto będzie mu towarzyszył. Ktoś, kto zna morze, jest młody, silny i na tyle wrażliwy, żeby nie urazić dumy starszego człowieka. Jak sądzisz, mógłbyś się podjąć takiego zadania?

- Ale nie w czasie lekcji.

- Oczywiście, że nie. Tego na pewno nikt nie będzie od ciebie wymagał. Aha, i jeszcze jedno.

- Tak?

- Znasz się na strzyżeniu trawników.

- No tak - roześmiał się Ben. - Mogłem się tego spodziewać.

- Tylko raz w tygodniu. Ale za to dwa ogródki. Mojego taty i doktor Flemming.

- Słucham? - zachnęła się Christie. - Absolutnie się nie zgadzam, dziękuję. Sama potrafię skosić swój trawnik.

- Tak? To kiedy to ostatnio robiłaś? - zapytał Hugo.

- Trawa lepiej rośnie, kiedy się jej zbyt często nie strzyże.

- Ach tak? Nie wiedziałem - zachichotał, po czym ponownie skierował spojrzenie na chłopca. Po chwili zaproponował mu pewną sumę, od której chłopakowi zakręciło się w głowie.

- Aż tyle! Żaden dzieciak na wyspie tak dużo nie zarabia.

- Ale też nie spoczywa na nim tak wielka odpowiedzialność. Pamiętaj, że praktycznie powierzam ci życie własnego ojca. To jak, przyjmujesz tę pracę?

- Oczywiście.
 - W takim razie umowa stoi. - Hugo z powagą potrząsnął dłoń Bena.
 - Będę mógł teraz zaoszczędzić na deskę z żaglem - szepnął chłopiec. - Zanim... ? - zawiesił na chwilę głos. - To znaczy, kiedy wcześniej patrzyłem na chłopaków na deskach, myślałem, że to nie dla mnie. Ale teraz... - Podskoczył z radości i popędził w kierunku domu.

- I w ten oto sposób zakończyłeś kolejny rozdział - zauważyła Christie z mimowolną irytacją, uświadomiwszy sobie, że Hugo znowu pobił ją o głowę. - Dobrze wiedziałeś, że to właśnie Ben mści się na naszych łodziach, prawda?

- I co? Wydaje ci się, że postanowiłem uratować własną?

- Nie. Sądzę, że postanowiłeś uratować Bena - wyjaśniła. - Uwolniłeś dzieciaka od poczucia winy, dałeś mu pracę i okazałeś zaufanie. Nie dość, że stał się miejscowym bohaterem, to jeszcze zacznie zarabiać. Dla dziecka, którego poczucie własnej wartości dotychczas bliskie było zeru, to naprawdę wielka sprawa.

- Nie wiadomo, jak dalej potoczą się jego losy.

- Wiem, lecz tym niemniej dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Uśmiechnął się tak, że Christie przez chwilę była prawie pewna, że zaraz pochwyci ją w ramiona. Jednak szybko odwrócił wzrok.

- Hugo? Jest coś jeszcze...

- Tak?

- Nie zgadzam się, żebyś płacił za koszenie mojego trawnika.

- Zastanawiałem się, kiedy do tego wrócisz. Posłuchaj...

- Nie ma o czym mówić - przerwała mu szorstko. - Nigdy na to nie pozwolę.

- Nawet jeśli będzie to forma zapłaty za to, co, mam nadzieję, zrobisz dla mojego taty?

Christie znieruchomiała.

- Mógłbyś wyrażać się jaśniej?

- Tata ma słabe serce.

O tym już przecież mówił. Nie rozumiała jednak, co stan serca Tallenta seniora może mieć wspólnego z jej osobą.

- A dokładniej?

- Niedokrwienie mięśnia sercowego. Ojciec ma chroniczną dusznicę, ale na szczęście po wszczępieniu bypassów jego stan uległ znacznej poprawie. Spadł mu poziom cholesterolu, ciśnienie prawie wróciło do normy i

fizycznie w tej chwili właściwie nic mu nie dolega. Ale nie potrafi wypełnić pustki po śmierci mamy.

- Rozumiem. Ale dlaczego chcesz, żebym się nim zajęła?

- Bo mnie tu nie będzie.

Christie zagryzła wargi. Mimo że odczuwała lęk, zdawała sobie sprawę, że nie może dłużej już odwlekać rozmowy.

- Jak rozumiem, wyjedziesz na tydzień albo trochę dłużej, a potem wrócisz, żeby razem z ojcem odstawić łódź do Brisbane.

- Nie.

- Jak to?

- Obawiam się, że nie zdołam tu wrócić w najbliższym czasie. Czeka mnie mnóstwo pilnej pracy. I tak poruszyłem już niebo i ziemię, żeby wykroić sobie ten tydzień. W poniedziałek mam lecieć do Nowego Jorku, a w następny piątek muszę być z powrotem w szpitalu w Brisbane.

- Ach tak - powiedziała bezbarwnym głosem. - A twój ojciec nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby tu zostać? Podejrzewam, że naprawa łodzi może potrwać ze dwa tygodnie.

- Al twierdzi, że może mu to zająć nawet trzy miesiące.

- Ile?! - wykrzyknęła i poczuła, że ogarnia ją co raz silniejszy gniew. - To znaczy - dodała po chwili, cędząc słowa przez zęby - że zamierzasz na całe trzy miesiące pozbyć się kochanego tatusia? I tak to zorganizowałaś, żebym się nim zajęła! Starym, schorowanym człowiekiem, który tutaj na wyspie pozbawiony będzie nawet rodziny i przyjaciół.

- Ja...

- Nie przyszło ci do głowy, że i tak ledwie sobie radzę? - wybuchnęła.

Była wściekła nie tylko ze względu na siebie. Zrobiło się jej żal starszego, przez nikogo nie chcianego mężczyzny, którego nawet nie miała okazji poznać.

- W Brisbane nie masz czasu dla niego, prawda? Pewnie! Jakim cudem mógłbyś mieć, skoro jesteś cenionym specjalistą. Więc wymyśliłeś sobie, że podrzucisz go tutaj, a obecność lekarki za płotem pozwoli ci uciszyć wyrzuty sumienia.

- To nieprawda. - Popatrzył na nią wzrokiem zranionego zwierzęcia. - Ojciec sam chce tu przyjechać.

- Dlaczego?

- Bo, po pierwsze, chce być obecny przy naprawie łodzi, a po drugie, w Brisbane po prostu doskwiera mu nuda. Tutaj na pewno znajdzie wspólny język z twoim dziadkiem i będą się świetnie bawili.

W przeciwieństwie do mnie, pomyślała Christie. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak zdoła zająć się jednocześnie pięciuset pacjentami i dwoma schorowanymi starszymi panami, powierzonymi jej opiece.

- Ojciec jest bardzo niezależnym człowiekiem - dodał Hugo, jakby czytając w jej myślach.

- Akurat! Jak ma być niezależny, skoro absolutnie nikogo tu nie zna. Chociaż z twoich słów wynika, że pewnie w Brisbane jest jeszcze bardziej samotny. Jeden syn jest gdzieś na Bahamach, drugi wybiera się do Nowego Jorku! Pewnie masz wygłosić jakiś bardzo ważny wykład na równie ważnej konferencji. Założę się, że niedługo zostaniesz profesorem. A tymczasem kochana Christie zajmie się staruszkami. Oczywiście! Dlaczego miałyby tego nie zrobić?

Nie odezwał się ani słowem, tylko wpatrywał się w nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Tymczasem ona zdołała nieco ochłonąć. Właściwie, pomyślała, co to za różnica, czy będzie miała jednego, czy dwóch podopiecznych. Nie ma o co kruszyć kopii. Poza tym od samego początku wiedziała przecież, że Hugo nie zostanie na wyspie. Tymczasem zachowuje się teraz tak, jakby wiadomość o jego rychłym wyjeździe spadła na nią niczym grom z jasnego nieba.

- Christie - odezwał się niepewnym głosem.

- Przepraszam, ale muszę już wracać do domu.

- Poczekaj.

- Daj mi spokój. Wiem, że musisz wyjechać, a ty wiesz, że zajmę się twoim ojcem. Przecież nigdy nikomu nie odmówiłam pomocy. Więc - dodała nieco spokojniej - nie musisz się odwdzięczać, załatwiając mi pomoc do strzyżenia trawnika.

- Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić - powiedział po cichu. - Ale jeśli uda mi się zrealizować pewien plan...

- Co? Zabierzesz ojca do Stanów i obejmiesz katedrę na jednej z lepszych amerykańskich uczelni? W porządku. Życzę ci wszystkiego najlepszego. Ale teraz daj mi już spokój. Chcę pójść do łóżka.

- Ze mną?

Niemożliwe. Musiała się przesłyszeć.

- Słucham?

- Przepraszam. - Chyba zawstydziła go własna bezczelność. - Rzeczywiście, na to jeszcze trochę za wcześnie. Najpierw muszę sam z sobą dojść do ładu. A potem, Christie, zobaczymy, co da się zrobić. Tymczasem masz rację. Powinniśmy się teraz położyć. Każde we własnym łóżku.

Nie zmrużyła tej nocy oka. Przewracała się z boku na bok, a kiedy wstała o świcie, była tak zmęczona, jakby się w ogóle nie kładła.

Tymczasem środa zawsze była najbardziej męczącym dniem tygodnia. Plemię Koori mieszkało w osadzie oddalonej zaledwie o kilka kilometrów, ale ilekroć je odwiedzała, miała wrażenie, że znajduje się w innym kraju. Aborygeni żyli tam własnym życiem i nie utrzymywali kontaktów z pozostałymi mieszkańcami wyspy. Obyczaj zakazywał im wszelkich podróży, przez co Christie sama musiała składać im wizyty, a ponieważ stanowili około połowy populacji Bri-man, zawsze w środy miała pełne ręce roboty.

Półprzutomna, weszła do kuchni i oniemiała.

- Hugo? - wykrztusiła.

- A któż by inny? Przecież nie mój duch. Choć przyznaję, że jestem dziś ledwie żywy. Spałaś dziś tyle co ja?

- A skąd miałabym wiedzieć, jak długo spałaś?

- Czyli podobnie jak ja spędziłaś bezsenłą noc. Zresztą, to nieuniknione, skoro śpimy w sąsiednich pokojach. Przez cały czas leżałem w łóżku i nasłuchiwałem przez ścianę bicia twojego serca.

Za nic w świecie nie zamierzała się przyznać, że podziela jego odczucia. Na szczęście czekały ją jeszcze jedynie dwie noce bez snu.

- Zjesz grzankę? - zapytał, obracając kromkę chleba nad ogniem.

- Nie, dziękuję. Nie będę jadła śniadania.

- No to będziesz musiała na mnie poczekać. Ray mówił, że czeka nas ciężki dzień, więc przynajmniej ja zamierzam coś zjeść.

- Jak to, nas?

- A co? Nie chcesz, żebym ci towarzyszył?

- Nie, dlaczego? Ale i tak nie zmieścisz się w szoferce. Mary-anne...

- Mary-anne dziś nie pojedzie. Zgodziła się wczoraj, żebym ją zastąpił, i obiecała, że zajmie się twoim dziadkiem, dzięki czemu Louise będzie mogła wziąć sobie wolne. Więc jadę dziś z tobą jako pielęgniarz. Będę robić opatrunki i napełniać ci strzykawki, pod warunkiem, że się zgodzisz.

- A czy to, co ja sądzę, w ogóle ma jakiś wpływ na twoje plany? Przecież i tak zrobisz, co sam uznasz za stosowne.

- Christie, nie masz zielonego pojęcia, jak wiele zależy jedynie od ciebie - powiedział. W jego spojrzeniu było tyle ciepła, że Christie poczuła nagły przypływ wzruszenia. - Aż się boję ci o tym powiedzieć, żeby przypadkiem niczego nie zapeszyć.

Drogę do osady plemienia Koori przebyli w milczeniu. Christie zupełnie nie wiedziała, jak ma zareagować na enigmatyczną wypowiedź swego

towarzysza, a on zdawał się skupiać całą uwagę na podziwianiu okolicy. Rzeczywiście, wyspa o świcie wyglądała przepięknie, szczególnie że znaleźli się teraz w dziewiczej scenerii, nie tkniętej ręką człowieka.

W końcu Christie zaparkowała samochód pod ścianą wysokiego urwiska.

- Wizyta domowa numer jeden - oznajmiła.

Hugo rozejrzał się dookoła i ze zdziwieniem stwierdził, że nie widzi żadnego domostwa.

- Pacjentka nazywa się Mabs Wasjarra - wyjaśniła Christie. - Ma raka kości i w ogóle nie podnosi się z łóżka.

- Ale widzisz tu jakiś dom?

- To zależy, co się nazywa domem. Jeśli masz ochotę mi towarzyszyć, weź łaskę - poleciła i bez oglądania się na niego ruszyła pod górę.

Musieli wejść wąską ścieżką prawie na szczyt urwiska. Kiedy wreszcie dotarli do celu, Hugo wręcz syczał z bólu. i Rzeczywiście, gdyby nie łaska, pewnie musiałby zatrzymać się w pół drogi.

- To jedna z najtrudniejszych wizyt - pocieszyła go Christie. - Mabs odmawia wyprowadzki, bo jak twierdzi, stąd widać świat.

Ze szczytu urwiska rozciągała się panorama prawie całej wyspy. Widoczne z daleka miasteczko właśnie budziło się ze snu. Z kominów unosiły się obłoczki dymu, a pojedyncze łodzie odrywały się od nabrzeża.

Christie pochyliła się i wcisnęła w skalną szczelinę.

- Mabs! - zawołała. - To ja, Christie. Przywiozłam z sobą jeszcze jednego lekarza. To mężczyzna. Może wejść?

Hugo oniemiał. Czyżby staruszka mieszkała w jaskini?

- Mabs mówi, żebyś wszedł. Tylko uważaj na głowę. Musiał klęknąć i praktycznie wczołgać się do środka. Ale to, czego teraz był świadkiem, zafascynowało go do tego stopnia, że całkowicie zapomniał o zwichniętym kolanie.

Znalazłszy się w jaskini o wymiarach niewielkiego pokoju, musiał przez dobrych kilka minut przyzwyczajać wzrok do panującego wokół półmroku. Na szczęście sklepienie pomieszczenia znajdowało się na całkiem wysoko, tak że prawie mógł się wyprostować.

W smużce światła sączącej się ze szczeliny, przez którą właśnie weszli do środka, ujrzał leżącą w kącie na prowizorycznym posłaniu pacjentkę.

- Mabs, to jest doktor Tallent z Brisbane - rzekła Christie i pochyliła się nad sędziwą, wyniszczoną kobietą.

- Ten, który o mało nie utonął? - zapytała staruszka słabym, drżącym głosem. - Mówią, że duchy już go prawie dopadły.

- I zapewne by się im udało - odezwał się Hugo - gdyby nie jeden dzielny młody człowiek.

- Wiem, mały Ben. To dobry dzieciak. Zagląda tu czasem, ale nigdy nie sprawia kłopotów. Tylko stale przeżywa śmierć matki. Choć słyszałam, młody człowieku, że udało ci się mu pomóc. - Mabs, z grymasem bólu na twarzy, poprawiła się na pościeli.

Hugo dopiero teraz zauważył, że łóżko kobiety stanowią poukładane jedna na drugiej zwierzęce skóry.

- Nie powinieneś lękać się duchów - ciągnęła aborygenka. - Po mnie niedługo też przyjdą, ale wcale się ich nie boję. Chyba już nadszedł mój czas, prawda, Christie?

- Musisz jeszcze trochę poczekać - odrzekła Christie z uśmiechem.

- Szkoda.

Christie podniosła skórę okrywającą pacjentkę. Kobieta nie miała na sobie żadnej odzieży. Wyglądała tak, jakby kości obciążone miała cieniutką warstwą zgniecionego pergaminu.

- Znowu zerwałaś sobie opatrunk. A obiecałaś mi przecież, że tego więcej nie zrobisz - rzekła Christie łagodnie.

- Przeszkadzał mi.

- Ale wrzody nie zagoją się bez opatrunku, Mabs. Cara miała ci go codziennie zmieniać.

- Chciała, ale jej nie pozwoliłam. Po pierwszym razie myślałam, że zaraz zymiotuje.

- Cara jest córką Mabs - wyjaśniła Christie. - Zgodzisz się, żeby doktor Tallent cię obejrzał?

- A niech sobie popatrzy, jak ma takie życzenie.

- A zdołasz dziś przewrócić się na bok? - zapytała, odsuwając się, by zwolnić dla Hugona miejsce. - Chciałabym, żebyś pokazała mu biodro.

To, co zobaczył, wprawiło go w przerażenie. W Brisbane każdy pacjent w takim stanie znalazłby się natychmiast w szpitalu. Ropiejące wrzody pokrywały obie nogi kobiety, a na biodrach utworzyły się ogromne odleżyny.

Zdawał sobie sprawę z katuszy, przez jakie musi przechodzić staruszka, i tylko nie mógł się nadziwić, że traktuje swój stan z tak stoickim spokojem.

- Powoli rozpadam się na kawałki...

- Mieszka pani sama?

- Kto, ja? A po co się tu wyniosłam, jak ci się wydaje? Nie chciałam być z nimi wszystkimi na kupie. Ale nie, nie jestem samotna. Bez przerwy ktoś do mnie zagląda. Jak nie jedna córka, to druga, albo któreś z wnucząt. Kiedy

ostatnio liczyłam, było ich dwadzieścioro pięcioro. Mieszkałam z nimi wszystkimi tam na dole, ale piasek ranił mi nogi. Więc wyniosłam się tutaj na skały, żeby zaczekać na śmierć.

Aborygenka wzruszyła ramionami.

- To dobre miejsce - ciągnęła. - A Christie daje mi tabletki, po których ból staje się do zniesienia. Kiedy słońce jest wysoko na niebie, siadam przy wyjściu z jaskini i patrzę. Tylko tyle mi teraz potrzeba.

- Rodzina przynosi pani jedzenie? - zapytał Hugo, rozglądając się po jaskini.

Pomieszczenie było wysprzątane, w powietrzu nie unosił się żaden przykry zapach, a przy wejściu stał mały piecyk. Najwyraźniej bliscy rzeczywiście otaczali kobietę troskliwą opieką.

- Mam naprawdę dobre dzieci - oznajmiła Mabs, kiedy Christie z uwagą opatrywała jej rany. - To wielkie szczęście.

Hugo przyjrzał się starej aborygencie z podziwem. Mimo ogromu cierpienia, mając jedynie kilka skór za posłanie, prymitywny piecyk i skalne sklepienie nad głową, potrafiła jeszcze rozprawiać o szczęściu.

Wrócił myślami do pacjentów, jakich zdarzało mu się spotykać w Brisbane. Brak pieniędzy na najnowszy model mercedesa potrafił pozbawić ich radości życia.

- Nie zgodziłaby się pani pojechać na trochę do szpitala? - zapytał.

- W żadnym razie.

- Niestety - westchnęła Christie. - Myślisz, że nie próbowałam?

- Miałam już do czynienia z tą waszą cywilizacją - wyznała staruszka. - Wyrzucili nas na obrzeża miasta, ale na szczęście szybko zobaczyliśmy, jaką szkodę wyrządzamy naszym dzieciom. Więc przenieśliśmy się tutaj i teraz trzymamy się od was z daleka. Zamierzam umrzeć wśród swoich, a to, czy śmierć zabierze mnie teraz, czy za miesiąc, nic da mnie nie znaczy.

- Wiem. - Christie pokiwała głową. - Ale przynajmniej musisz mi obiecać, że nie będziesz więcej zrywała opatrunków. I ostrzegam, że Maryanne będzie tu codziennie zaglądać.

- Obejdę się bez nich.

- Ale ja nie. Pamiętaj, że jeśli je zrywasz, mam wrażenie że to przeze mnie, bo jestem kiepskim lekarzem. Więc nie rób tego. Proszę.

- No dobrze. - Staruszka w końcu się poddała. - Masz całkiem dobre serce jak na białą kobietę.

- Za to ty, jak na czarną, jesteś bardzo dzielna - odcięła się Christie z uśmiechem.

Hugo nie widział jeszcze medycyny w takim wydaniu. Tu potrzebny jest przeszczep skóry, nie bandaże, rozmyślał. Nie tabletki przeciwbólowe, lecz stała kroplówka z morfiny. Nie mówiąc już o radioterapii, która bywa skuteczna w leczeniu nowotworów kości. Ale cóż można zrobić, skoro pacjentka na nic nie wyraża zgody?

Właśnie zbierali się z Christie do wyjścia, kiedy do jaskini wcisnął się może dziesięcioletni chłopczyk i uśmiechnąwszy się wesoło na powitanie, pokazał staruszce papierową torbę.

- Mama przysłała ci śniadanie, babciu. Sama przyjdzie trochę później. Byliśmy dziś z tatą na rybach. Zobacz, jaką sztukę złowiłem. Mama mówi, że najlepsza jest prosto z patelni, więc przybiegłem, żeby ci ją usmażyć - oznajmił, rozpalając ogień w piecyku.

- Świetnie się spisujesz, Davey - pochwaliła Christie i ujawszy chłopca za brodę, uważnie spojrzała mu w oczy.

- Muszę ci zapaść krople. Widzę, że znowu tarłeś powieki.

- Ojej, pani doktor...

- Wolisz stracić wzrok jak wujek Arrantha?

- Nie, ale...

- W takim razie masz się dziś u mnie pojawić. Zrozumiano? - poleciała i skierowała się do wyjścia.

- Zaczekaj - zatrzymał ją Hugo. - Nie sądzisz, że Mabs przydałby się dmuchany materac?

- Słucham? - zdziwiła się.

- Zastanów się. Wydaje mi się, że powinien choć trochę ulżyć jej cierpieniom - wyjaśnił Hugo, po czym zwrócił się bezpośrednio do staruszki: - Co by pani powiedziała, gdybyśmy pod te skóry podłożyli miękki, nadmuchany powietrzem materac?

- Nie potrzebuję...

- Wiem, że niczego pani nie potrzebuje, ale sprawiłaby mi pani przyjemność, gdyby zgodziła się pani go przyjąć.

- Zawiesił głos i uściśnął pomarszczoną dłoń aborygenki.

- Słyszała pani, że duchy już chciały mnie zabrać. Teraz upominają się o panią. Oboje o tym wiemy. Ale gdyby leżała pani na miękkim, wygodnym pościeli, znacznie łatwiej byłoby pani przejść na tamtą stronę. Christie wstrzymała oddech.

Mabs przez dłuższą chwilę leżała w zadumie, po czym wykrzywiła usta w bezzębnym uśmiechu.

- Polubiłam cię, młody człowieku. Pasowałbyś do nas. Dlatego zgadzam się. Możecie przynieść mi taki materac...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Jakim cudem zdołałeś ją namówić? Gdybyś wiedział, ile razy sama próbowałam ją przekonać, ale...

- Widać mam nieodparty męski wdzięk, któremu nawet Mabs nie potrafi się oprzeć.

- Nie mógłbyś mi odrobiny pożyczyć?

- A po co? - zapytał całkiem poważnie. - Wierz mi, Christie, masz już tyle własnego wdzięku, że więcej mogłoby ci jedynie zaszkodzić.

W ten sposób znowu zaniknął jej usta. Na szczęście do osady plemienia było już blisko, więc nie musieli zbyt długo jechać w milczeniu.

Aborygeni zamieszkiwali równinę u ujścia rzeki. Proste, jednoizbowe chaty, wyposażone w przestronne werandy, wzniesione zostały wokół centralnego placu mieszczącego kilkanaście ognisk, drewniane stoły z ławami i huśtawki dla dzieci.

- Koori przybyli tu dopiero kilka lat temu - wyjaśniła Christie. - Przedtem zamieszkiwali tereny na kontynencie, gdzie, jak wspomniała Mabs, zostali zmuszeni do życia na obrzeżach miasta. Tyle że nie wyszło im to na dobre i zaczęli stopniowo wymierać.

- A to czemu?

- Przez bezrobocie, nędzę, poniżenie... Wiesz, że przodkowie Mabs od tysiący lat wiedli godne życie, utrzymując się dzięki pracy na roli. Dopiero kontakt z cywilizacją białego człowieka praktycznie wyniszczył to plemię. Wreszcie ci, którzy pozostali jeszcze przy życiu, skorzystali z funduszy wyasygnowanych przez próbujących uciszyć wyrzuty sumienia polityków i przenieśli się do nas na wyspę. Jednak postawili warunek, że członkowie plemienia, którzy chcą tu przyjechać, muszą przestrzegać plemiennego obyczaju i wyrzec się alkoholu. To mądzy ludzie. Zatrudniają najlepszych nauczycieli i zamierzają powoli zasymilować się z białymi, ale tym razem na własnych warunkach.

- Na razie rozumiem. Ale jaka jest twoja rola w tym wszystkim?

- Koori mają własnych uzdrowicieli - ciągnęła - ale teraz zapadają też na choroby białego człowieka. Są na tyle inteligentni, że zdają sobie sprawę, że sami sobie z nimi nie poradzą. Osobiście zwracam największą uwagę na choroby oczu wśród dzieci. Poważnym problemem jest szerząca się powszechnie jaglica. Wielu starszych członków plemienia bezpowrotnie straciło już wzrok. - Uśmiechnęła się ciepło. - To jak? Jesteś gotów mi pomóc?

- Z przyjemnością.

Gdyby ktokolwiek powiedział mu jeszcze tydzień temu, że spędzi sześć godzin na piasku, badając oczy niezliczonej rzeszy maluchów, pomyślałby, że ma do czynienia z wariatem. Tymczasem właśnie uporał się z długą kolejką małych pacjentów.

Christie przedstawiła go Maree, plemiennej pielęgniarkce, która mimo braku formalnego wykształcenia niezwykle sprawnie wypełniała wszelkie zalecenia lekarzy.

Jak daleko znalazł się dzisiaj od Brisbane! A przecież tam też czeka go całe mnóstwo pracy, a przede wszystkim ostatni, niedokończony rozdział.

Tylko jak tu myśleć o pisaniu, skoro małej Mary Bindi ropieją powieki, a Anna Corragaba ma wysoką gorączkę...

- Nie mogę uwierzyć, że udało nam się dziś skończyć tak wcześnie - oświadczyła Christie, kiedy po piątej zaczęli pakować sprzęt do samochodu.
- Jednak nie ma to jak dwoje lekarzy.

Wyglądała dzisiaj cudownie. Spłowiałe dzinsy, luźna koszula i wysokie skórzane buty, które włożyła dla ochrony przed jadowitymi wężami, tylko dodawały jej uroku, a włosy ściągnięte do tyłu karminową frotką sprawiły, że wyglądała teraz jak uczennica.

Hugo z trudem panował nad sobą. Tak bardzo pragnął pochwycić Christie w ramiona. Nade wszystko jednak nie chciał jej skrzywdzić.

- Nie chciałbyś zjeść kolacji na plaży? - zapytała znienacka.

Nie spodziewał się takiego obrotu sytuacji. Podejrzewał, że Christie będzie chciała jak najszybciej wrócić do dziadka.

- Mało kiedy udaje mi się wyjechać stąd przed zmrokiem, więc w środy dziadek jada kolację w szpitalu - wyjaśniła.

- Ale - wciąż jeszcze nie pozbył się wątpliwości - udało mi się namówić rodziców Anny Corragaba, żeby odwieźli ją do szpitala.

- Wiem. Maree mi mówiła. Podobno Anna od trzech dni ma wysoką gorączkę. Tylko że minie jeszcze sporo czasu, zanim tam dotrą. Muszą przecież przejść ładnych parę kilometrów.

- Jak to przejść? Przecież to dziecko jest poważnie chore! - wykrzyknął Hugo. - Nie mogą jej odwieźć samochodem?

- Nie mają samochodu.

- To sami mogliśmy ją zabrać.

- Nigdy by się na to nie zgodzili. Rada plemienna postanowiła, że żaden Koori nie może korzystać z samochodu. Nawet jeśli to sprawa życia i śmierci.

- Ale dlaczego?

- Kiedy jeszcze mieszkali w mieście, mali chłopcy zaczęli wachać benzynę. Wiesz, co to może oznaczać? Upośledzenie do końca życia.

Rzeczywiście, Hugo spotkał dziś kilku upośledzonych umysłowo młodzieńców.

- W każdym razie, według moich wyliczeń, Anna nie pojawi się w szpitalu przed północą. Mężczyźni z plemienia będą ją nieśli na zmianę.

- Obawiam się, że to zapalenie wyrostka.

- Cholera! - Christie zmarszczyła brwi. - Pewnie stracę kilka godzin, zanim zdołam przekonać ich, żeby pozwolili przenieść dziecko do Townsville. I wcale nie mam pewności, czy w końcu wyrażą zgodę.

- A nie możemy operować na miejscu? - zapytał Hugo, przyglądając się Christie z uwagą.

Najpierw otworzyła szeroko oczy, a potem uśmiechnęła się radośnie. Napięcie znikło z jej twarzy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Wspaniale! - zawołała. - Nie wyobrażasz sobie, jaka to dla mnie ulga. To straszne patrzeć na umierające dziecko, któremu nie pozwalają ci pomóc.

- Wyjęła z kieszeni telefon komórkowy. - Mary-anne da nam znać, kiedy Anna przybędzie do szpitala. A tymczasem możemy poszukać jakiegoś pięknego miejsca, żeby zjeść kolację.

Tym razem atmosfera była całkiem inna niż owej pamiętnej nocy, kiedy wspólnie łowili krewetki. Oboje zachowali powściągliwość. Hugo wciąż nie był pewien, co przyniesie przyszłość, natomiast Christie nie przestawała smucić się jego rychłym wyjazdem. Propozycja wspólnej operacji uświadomiła jej ze zdwojoną mocą wagę problemów, z którymi przyjdzie jej borykać się, kiedy znowu zostanie sama.

Jedli w milczeniu i tylko fale odbijające się regularnie od brzegu przerywały panującą wokół ciszę.

Hugo wciąż bił się z myślami. Czy ma ulec przemożnej pokusie i narazić Christie na ból rozstania? Przecież nawet nie wie, czy kiedykolwiek tu wróci.

- Musimy już iść - powiedział trochę zbyt szybko i podał Christie rękę, żeby pomóc jej podnieść się z piasku.

Pewnie pociągnął ją nieco za mocno, bo oto nagle sama mu wpadła w ramiona.

Może gdyby się cofnęła...

Całując jej gorące usta, Hugo znowu odniósł wrażenie, że stanowią dwie nigdy nieумыślnie rozdzielone połówki jednej całości. Ale teraz już nic ich nie dzieli.,

Teraz muszą być razem!

Wsunął dłoń pod bawełnianą koszulę Christie i sycił się jej gładką, rozgrzaną skórą, a przy tym każdy gest, każdy ruch Christie mówił mu, że odzwajemnia jego pragnienia.

Jak to możliwe, pomyślał, że wcześniej się nie spotkali? Przecież nie spędziła na wyspie całego życia.

- Kochanie, nie możemy... - Jeszcze raz jego rozsądek próbował zwyciężyć namiętność.

- W bocznej kieszeni mojej torby - szepnęła. - Tam trzymam przerwatwy.

- Do użycia w wypadku nagłej potrzeby. Nie obraziła się, tylko roześmiała.

- Rozdaję je nastolatkom, które nie chcą dłużej czekać. I zawsze poprowadzam to odpowiednim wykładem.

- Christie, na pewno nie będziesz żałować?

- Nigdy w życiu nie byłam niczego tak pewna. To sprawa życia lub śmierci, więc jeśli natychmiast nie zacznie pan ze mną się kochać, panie doktorze, będzie pan osobiście odpowiedzialny za moją reanimację.

Nigdy nie czuła się bardziej szczęśliwa. Leżała w ramionach ukochanego mężczyzny, a na niebie jedna po drugiej zapalały się gwiazdy.

W wieku dwudziestu ośmiu lat Christie miała za sobą dwa poważniejsze związki. Dotąd wydawało się jej, że gdyby nie śmierć babci i konieczność przyjazdu na wyspę, któryś z nich mógł zakończyć się małżeństwem. Teraz zrozumiała, jak wielki popełniłaby błąd, bo dopiero w ramionach Hugona poznała smak prawdziwej miłości.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Anna dotarła do szpitala tuż po jedenastej i Eileen natychmiast zadzwoniła do lekarki.

- Tak, słucham - powiedziała Christie zmieszonym głosem, czym od razu rozbudziła ciekawość pielęgniarki.

- Cześć. Gdzie się podziewasz?

- Chciałabys wiedzieć, co? - odrzekła filuternie. - Około czterech kilometrów na północ od szpitala. Czy coś się stało?

- Przynieśli właśnie Annę Corragabę.

- Rozumiem. - Christie z trudem porządkowała myśli. - Posłuchaj. Hugo podejrzewa, że to wyrostek. Mała jest odwodniona, więc podłączcie jej kroplówkę, ale pod żadnym pozorem nie podawajcie niczego do jedzenia. I na wszelki wypadek przygotujcie blok Operacyjny. Jak się miewa mój dziadek?

- Mary-anne grała z nim do dziesiątej w karty, ale niedawno poszedł już spać. Poproszę Judy, żeby do niego zajrzała.

- Dzięki. Niedługo będziemy na miejscu.

- W takim razie już biegnę przygotować salę do zabiegu. Doktor Tallent poda Annie narkozę?

- Tak.

- Wspaniale! - skomentowała Eileen głosem wskazującym, że zaczyna się czegoś domyślać.

No świetnie! Teraz cały szpital zacznie huczeć od plotek.

W ciągu ostatnich kilku godzin stan Anny zdecydowanie się pogorszył.

- Obawiam się, że mogło dojść do perforacji - westchnęła Christie.

- Trzeba było ją zabrać twoim samochodem.

- Ciekawe jak? Używając siły fizycznej? Rada plemienia w końcu zrozumie swój błąd. Ale musi minąć sporo czasu, zanim uzna, że istnieją inne metody ustrzeżenia małych przed wążaniem benzyny.

- Ile czasu?

- Nie wiem - zachnęła się. - Na Boga, Hugo, nie myślisz chyba, że nie próbuję ich przekonać. Ale jedna kobieta nie jest w stanie dokonać cudu...

Pomyślała, że jeszcze chwila, a się rozplacze.

Wyrostek obrzmiał był do granic wytrzymałości, ale na szczęście jeszcze nie pękł.

Od samego początku w sali zabiegowej towarzyszyła im szamanka Penny, więc lekarze nie mogli swobodnie rozmawiać. Całą uwagę skupili na zabiegu. Mimo że Christie wolałaby operować bez postronnych świadków,

zdawała sobie sprawę, że skoro plemienna starszyczna uznała, że Penny ma być obecna przy operacji, nie może się sprzeciwić.

- Nie wyglądało to najlepiej - zauważyła aborygenka, kiedy Christie, usunąwszy zmieniony chorobowo organ i odkaziwszy otrzewną, mogła wreszcie założyć szwy.

- Masz rację, Penny. Jednak sądzę, że obędzie się bez komplikacji. Doktor Tallent podłączy zaraz kroplówkę z antybiotyku i przewieziemy Annę na oddział. Ale najbliższy tydzień będzie musiała spędzić w szpitalu.

- Mogę z nią zostać?

- Oczywiście - zgodziła się Christie. - Wstawimy ci łóżko do dyżurki Mary-anne. Oczywiście rodzice też mogą odwiedzać ją, kiedy tylko zechcą.

- Rozumiem. - Kobieta rozchyliła usta w bezzębnym uśmiechu. - Pójdę teraz porozmawiać z jej ojcem.

Wróciła po chwili i położyła dłoń na czole dziewczynki.

- Uznaliśmy, że będzie bezpieczna pod twoją opieką - powiedziała. - I jego - dodała po chwili, wskazując głową na Hugona. - Jak na białego, jest całkiem w porządku.

- Zdajesz sobie sprawę, że to był najpiękniejszy komplement, jaki można w życiu usłyszeć?

- To znaczy?

- To znaczy, że skoro zdecydowali się powierzyć nam dziecko, najwyraźniej nam zaufali - wyjaśniła ze łzami wzruszenia w oczach. - Hugo, ci ludzie mi wierzą.

Kiedy umieścili już Annę na oddziale, Hugo odciągnął Christie na bok i pocałował w usta. Odskoczyła jak oparzona.

- Dziękuję ci za dzisiejszy wieczór - powiedziała. - Wiem, że to właściwie ja cię uwiodłam, ale tak bardzo chciałam być wtedy z tobą. Obiecuję, że nigdy tego nie zapomnę...

- Christie...

- Nie mów nic więcej. Było cudownie, ale oboje wiemy, że musimy się rozstać. I to najlepiej od razu.

Nie czekając na odpowiedź, samotnie wróciła do domu, weszła do sypialni i zatrzasnęła drzwi.

Zycie musiało toczyć się dalej.

W czwartek na wyspie pojawił się starszy pan Tallent. Byli do siebie z synem niezwykle podobni, tylko starszy z nich włosy miał białe jak śnieg. Za trzydzieści czy czterdzieści lat Hugo będzie wyglądał tak samo, pomyślała Christie ze ściśniętym gardłem, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy przez okno szpitala.

Kiedy w czwartek wieczorem wróciła do domu, Hugo zdążył się już wyprowadzić.

- Ten jego ojciec to bardzo przyjemny człowiek - oznajmił Stan z promienną miną. - Hugo przedstawił mi go dzisiaj po południu. Sądzę, że się zaprzyjaźnimy. Obiecałem mieć na niego oko, bo na początku może się czuć tu trochę zagubiony.

Dobre sobie, pomyślała Christie z westchnieniem, i aż drgnęła, kiedy Hugo zapukał do drzwi.

- Christie, chciałbym, żebyś poznała mojego tatę - powiedział z tym samym co zwykle ujmującym wyrazem twarzy, który niczym sztylet ukłął ją w serce.

- Tak się cieszę, że mogę cię poznać, moje dziecko. Nie wiem, jak ci dziękować za to, że uratowałaś mi syna. Podobno przestał oddychać - powiedział łamiącym się głosem.

- W końcu po to tu jestem. Żeby ratowała ludzkie życie. - Jakoś zdołała wykrzesać z siebie uśmiech. - Może napijecie się kawy?

- Dziękujemy, ale muszę wstać z samego rana. Samolot odlatuje o szóstej. Wpadłem tylko na chwilę, żeby przedstawić ci tatę i się z wami pożegnać.

- Ale będziesz nas odwiedzał, prawda? - odezwał się Stan.

- Jeszcze nie wiem. Zobaczymy, ile potrwa naprawa łodzi.

Kiedy wyciągnął do niej dłoń, Christie natychmiast wyczuła, że marzy tylko o tym, by ją porwać w ramiona. Więc może jednak zdecyduje się wrócić? To niemożliwe, żeby miał serce z kamienia.

- Do widzenia - szepnęła. - Zajmę się twoim tatą.

- Możesz wyjść ze mną na chwilę na dwór? - Początkowo Hugo zamierzał jedynie szybko się pożegnać i jak najszybciej opuścić dom Flemmingów. Jednak nie mógł tak po prostu wyjechać.

Ledwie znaleźli się za drzwiami, przyciągnął Christie do siebie i obsypał ją pocałunkami. Dałby wiele, żeby ta chwila mogła trwać wiecznie.

- Christie - wyszeptał zduszonym głosem.

- Nic nie mów, proszę. Nie trzeba.

- Kochanie, jest coś, o czym musisz wiedzieć.

- Nie...

- Wtedy, na plaży... To nieprawda, co powiedziałaś. Czyżbyś naprawdę myślała, że mnie uwiodłaś, że tylko ty chciałaś się kochać? To nie tak. Nigdy nie pragnąłem nikogo tak bardzo jak ciebie. Ale gdybym poprosił cię teraz o rękę, powiedziałaśbyś nie. Nie myślę się, prawda? Nie

zdecydowałabyś się rzucić dla mnie wszystkiego. Ja też mam dużo zobowiązań...

- Masz rację. Nie zgodziłabym się zostać twoją żoną. Ale wcale nie proszę cię...

- Bo ty nigdy o nic nie prosisz - prawie krzyknął, zaciskając dłonie na jej ramionach. - Potrafisz jedynie dawać, a ja nie mogę ofiarować ci niczego w zamian. Mam tylko jedną szansę...

- Nie rozumiem.

- Na razie nie mogę ci tego wyjaśnić, ale pamiętaj, że cię kocham i że gdyby nawet okazało się, że nie mogę tu wrócić, zawsze będę cię kochał i na zawsze pozostanę twoim przyjacielem. I jeszcze jedno. Gdybyś tylko czegoś potrzebowała, obiecaj, że natychmiast dasz mi znać.

- Ja...

- Proszę.

- No dobrze - odrzekła pozbawionym wyrazu głosem, bo o cóż mogła go prosić? Tylko o to, żeby pozostał na wyspie. Ale tej jednej prośby Hugo akurat spełnić nie potrafił.

- Ja też cię kocham - dodała po chwili - ale wiem, że musisz wyjechać. Należymy do dwóch różnych światów. To tak, jakbym wypożyczyła cię na chwilę, a teraz muszę cię oddać. Spędziliśmy razem wspaniałe chwile. Dziękuję.

W piątek o szóstej rano doktor Hugo Tallent wszedł na pokład samolotu i opuścił Briman. Czyżby na zawsze?

- On wcale nie nazywa się Hugo Tallent! - Mary-anne jak burza wpadła do sali, w której Christie właśnie zabierała się do przeprowadzenia badania Liz.

- Mogłaby siostra przynajmniej zapukać!

- Przepraszam, pani doktor, ale to naprawdę niesamowite! - Pielęgniarka podsunęła jej pod nos złożoną na pół gazetę. - Tu jest wszystko napisane. O tym, jak doszło do wypadku...

- Pozwól, że skończę. A potem możecie plotkować sobie z Liz, o czym tylko chcecie. - Christie nie miała najmniejszej ochoty na dyskusję na temat ukochanego.

- Christie, nie próbuj udawać, że nic cię to nie obchodzi - wtrąciła Liz, przytrzymując przyjaciółkę za rękę. - Proszę, Mary-anne. Mów, o co ci chodzi?

- No więc w tej gazecie jest jak byk napisane, że nasz Hugo Tallent jest znanym pisarzem.

- To znaczy, że wcale nie jest anestezjologiem - przestraszyła się Liz.

- Nie, to też. Jest lekarzem, który pisze książki. A naprawdę nazywa się Hugo Mainwaring.

- Ten Hugo Mainwaring? - Liz aż usiadła z wrażenia.

- Właśnie.

- A kimże jest Hugo Mainwaring? - zapytała Christie, podnosząc głowę znad karty pacjentki.

- Jak to? Nie wiesz?

- Nie. - Już od dawna czytała jedynie niezbędną literaturę fachową.

- Hugo Mainwaring to najśłynniejszy na świecie autor kryminałów o tematyce medycznej - wyjaśniła Mary-anne z przejęciem. - Píše tylko jedną książkę na rok, bo jak sam twierdzi, jest przede wszystkim lekarzem. Ale i tak zarabia krocie.

- Ze też go nie rozpoznałam. Widziałam przecież zdjęcia Mainwaringa w różnych pismach - nie mogła nadziwić się Liz. - Ale na nich był zawsze w garniturze, a nie w pożyczonej, wytartej koszuli. Często pokazują go w towarzystwie różnych modelek, bo podobno jest najlepszą partią w Australii.

- Ach, tak?

- Christie? - Liz przyjrzała się przyjaciółce z niepokojem.

- Proszę cię, daj mi spokój. Wiedziałam, że jestem idiotką, ale żeby aż tak! Hugo Mainwaring! Kto by pomyślał?

Tymczasem Hugo nie dawał znaku życia. Charles Tallent zdecydowanie przypadł mieszkańcom wyspy do gustu. Spędzał długie godziny, dyskutując z Alfem o naprawie łodzi, wręcz rozpieszczał Bena i prowadził długie dysputy ze Stanem Flemmingiem, a kiedy Mandy zdała z wyróżnieniem końcowe egzaminy, zorganizował wielkie przyjęcie i sam przygotował jedzenie.

- Wiesz, że Charles pracował w najlepszych restauracjach na całym świecie? - poinformował Stan wnuczkę, kiedy nowy przyjaciel zaprosił ich po raz pierwszy na kolację.

- Co prawda nie zostałem dzięki temu milionerem, ale i tak uwielbiam gotować.

- Ale jak to się stało, że w końcu zamieszkali państwo w Brisbane? - zaciekała się Christie.

- Moja żona uważała, że powinniśmy osiąść gdzieś na stałe, żeby chłopcy nie musieli wciąż zmieniać szkół. Bardzo lubiła Brisbane, zwłaszcza że tamtejszy klimat pomagał jej na artretyzm. Potem Peter narobił długów, które musieliśmy za niego spłacać, pieniądze się skończyły i nie stać nas już było na przeprowadzkę. Po śmierci żony zostali mi tylko chłopcy, ale teraz

Peter wyjechał, a Hugo jest stale zajęty. Na szczęście - uśmiechnął się szeroko - zdobyłem dwoje nowych przyjaciół, którym w dodatku smakuje moja kuchnia.

Hugo co jakiś czas dzwonił do ojca i wtedy Charles tryskał znakomitym humorem. Christie zauważyła jednak, że z każdym dniem starszy pan Tallent coraz lepiej się czuje na wyspie, a za to coraz rzadziej wspomina o rozmowach z synem.

Wyglądało na to, że wszyscy poza nią samą są naprawdę szczęśliwi. Nawet Gloria King. Któregoś dnia Christie widziała, jak rzucała Scrubbitowi piłeczkę na plaży.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Mabs Wasjarra zmarła w piątek późnym wieczorem, niespełna trzy miesiące po wyjeździe Hugona z wyspy Briman. Christie spędziła przy niej cały dzień. W ostatnich dniach życia Mabs odczuwała tak silne bóle, że Christie podłączyła jej kroplówkę z morfiny i na zmianę z pielęgniarkami czuwała przy chorej bez przerwy.

Pozostawiwszy zmarłą jej najbliższym, Christie wyszła z jaskini. Po twarzy płynęły jej łzy wzruszenia. Stała na skale, ogarnęła wzrokiem rozciągającą się u jej stóp wyspę i na krótką chwilę przymknęła powieki.

Mabs dokonała wyboru, rozmyślała. Do końca pozostała wśród swoich, gdyż uznała, że właśnie taki los zapisano jej w gwiazdach. Christie wiedziała, że podobnie jak owa stara, doświadczona przez życie kobieta, sama też zdecydowała, że nie opuści gniazda. Tu przecież jest jej dom.

Otworzyła oczy i niespodziewanie zobaczyła Hugona.

Pewnie był tu przez cały czas, pomyślała, widząc, jak podnosi się ze skalnej półki i zmierza w jej kierunku.

- Nie żyje? - zapytał.

W odpowiedzi tylko skinęła głową.

- Ojciec powiedział mi, gdzie jesteś. Czy umarła w spokoju?

- Tak.

Z wnętrza jaskini dobiegało ciche zawodzenie kobiet zebranych przy zmarłej.

- To dobrze. - Hugo ogarnął spojrzeniem całą okolicę. - Nie mogę sobie wyobrazić piękniejszego miejsca.

- Rzeczywiście jest tu bardzo ładnie. Przez dłuższą chwilę trwali w milczeniu.

- Christie... - Jego głos drżał z przejęcia. - Może to zrządzenie losu, że wróciłem właśnie dzisiaj. To tak jakby życie przeplatało się ze śmiercią - dodał, zaciskając palce na jej drobnych dłoniach. - Ale akurat dopiero dziś mogę ci powiedzieć, że zamierzam spędzić tu resztę życia. Tu, na tej wyspie, chcę wychowywać własne dzieci. Czy zgodzisz się zostać moją żoną?

Christie nagle zabrakło powietrza.

- Słucham?

Na początku myślała, że się przesłyszała, ale wyraz malujący się na twarzy Hugona powiedział jej, że jednak słuch jej nie zawiódł.

Miał dziś na sobie elegancki garnitur, w którym zapewne leciał samolotem. A ona? Wytarte zakurzone dzinsy i porozdzieraną o kamienie

koszulę. Pomyślała, że na pewno wygląda okropnie. On jednak przyglądał się jej z nieskrywanym zachwytem.

I dlaczego poprosił ją teraz o rękę? Przecież nic się nie zmieniło, od kiedy opuścił Briman.

- Nie żądam, żebyś wyjechała ze mną z wyspy. - Znów jakby czytał w jej myślach.

- Ale, Hugo...

- Wysłuchaj mnie, proszę. - Mocniej zacisnął palce na dłoni Christie, jakby obawiał się, że mu zaraz ucieknie. - Nie mogłem wcześniej ci o tym powiedzieć, bo bałem się, że mogę cię skrzywdzić - powiedział, patrząc jej głęboko w oczy. - Czy nadal mnie kochasz?

- Tak - odrzekła szczerze.

Przecież tutaj, na dachu świata, nie mogłaby skłamać. Hugo odetchnął z ulgą.

- Ja ciebie kocham nad życie. Pokochałem cię w chwili, kiedy zobaczyliśmy się po raz pierwszy. Tylko obawiałem się, że nie będziemy mogli być razem. Nie mogłem ci powiedzieć...

- O czym? - Miała wrażenie, że zaraz się rozplacze.

- Mówiłem ci, że mam liczne obowiązki, od których nie mogę uciec. Mój ojciec bardzo wiele poświęcił dla rodziny. Przyjechał do Brisbane ze względu na artretyzm mamy. Potem Peter zaczął uprawiać hazard i tata spłacał jego długi. Przez to nie mógł już sobie pozwolić na wyjazd. Gdyby nie Peter, pewnie zrobiłby międzynarodową karierę. Teraz mama nie żyje, Peter wyjechał i nie wiadomo, czy kiedykolwiek raczy się jeszcze pojawić. Ojciec ma tylko mnie.

- Ale...

- Nie mogłem zostawić go samego. Nawet dla kobiety, z którą chcę spędzić całe życie. Tylko że ta kobieta mieszka na odludnej wyspie, a ja nie mogłem opuścić Brisbane. Nie mogłem zostawić ojca samego.

- Oczywiście. - Popatrzyła na Hugona z czułością. - Tak samo jak ja nie mogę opuścić Briman ze względu na dziadka. Ale jak to możliwe, że teraz chcesz tu zamieszkać?

- Będzie nam razem cudownie - rozpromienił się. - Zajmę się medycyną ogólną, bo przecież nie muszę być jedynie anestezjologiem, a w wolnych chwilach będę pisał książki. Tu, na odludziu, przynajmniej będę miał spokój. Rozbudujemy szpital i będziemy naprawdę szczęśliwi. Wszyscy razem. Ty i ja, a także mój tata i twój dziadek.

- Chyba nie do końca cię zrozumiałam.

- Posłuchaj, gdybym wcześniej poprosił ojca, żeby tu z nami zamieszkał, pewnie by się zgodził, bo on nigdy nie protestuje. Ale nie mogłem tego uczynić. Nie mogłem stawiać go w sytuacji bez wyjścia. Dlatego podjąłem pewne ryzyko. Zapropnowałem mu, żeby tu przyjechał i zajął się naprawą łodzi. A potem już tylko czekałem.

- Na co?

- Słuchaj. W zeszłym tygodniu zadzwoniłem i spytałem, czy chce już wracać do domu. A on na to, że bardzo mu przykro, ale jeśli nie mam nic przeciwko temu, zostanie na Briman na dobre, bo wreszcie znalazł swoje miejsce na ziemi.

- Niemożliwe!

- Naprawdę. Więc dlatego pytam cię jeszcze raz, Christie, czy zostaniesz moją żoną?

Christie nie odpowiedziała, tylko ujęła w dłonie jego twarz i pocałowała go w usta na znak wiecznej miłości.

W jaskim za ich plecami duch starej kobiety z plemienia Koori, pożegnawszy się ze swoim ludem, unosił się właśnie w zaświaty. Dla niej nadeszła pora, by odejść z tego świata, tak jak dla tych dwojga nadeszła pora, by przez resztę życia przejść już razem. Dopóki śmierć ich nie rozłączy...

RS